

# DZIS I JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 23 kwietnia 1950 r.

Nr 16 (230)

# POROZUMIENIE

## zawarte między przedstawicielami Rządu R. P. i Episkopatu Polski

W celu zapewnienia Narodowi, Polsce Ludowej i jej obywatelom najlepszych warunków rozwoju oraz możliwości wszechstronnej i spokojnej pracy — Rząd Rzeczypospolitej, który stoi na stanowisku poszanowania wolności religijnej oraz Episkopat polski, mający na względzie dobro Kościoła i współczesną polską rację stanu — regulują swe stosunki w sposób następujący:

- 1 Episkopat wezwie duchowieństwo, aby w pracy duszpasterskiej zgodnie z nauką Kościoła naucało wiernych poszanowania prawa i władzy państwowej.
- 2 Episkopat wezwie duchowieństwo, aby w swej działalności duszpasterskiej nawoływało wiernych do wzmożonej pracy nad odbudową Kraju i podniesieniem dobrobytu Narodu.
- 3 Episkopat polski stwierdza, że zarówno prawa ekonomiczne, historyczne, kulturalne, religijne jak i sprawiedliwość dziejowa wymagają, aby Ziemię Odzyskaną na zawsze należały do Polski. Wychodząc z założenia, że Ziemię Odzyskaną stanowią nieodłączną część Rzeczypospolitej, Episkopat zwróci się z prośbą do Stolicy Apostolskiej, aby administracje kościelne, korzystające z praw biskupstw rezydencjonalnych były zamienione na stałe ordynariaty biskupie.
- 4 Episkopat w granicach sobie dostępnych będzie się przeciwstawiał wrogiej Polsce działalności, a zwłaszcza antypolskim i rewizjonistycznym wystąpieniom części kleru niemieckiego.
- 5 Zasada, że Papież jest miarodajnym i najwyższym autorytetem Kościoła odnosi się do spraw wiary, moralności oraz jurysdykcji kościelnej, w innych natomiast sprawach Episkopat kieruje się polską racją stanu.
- 6 Wychodząc z założenia, że misja Kościoła może być realizowana w różnych ustrojach społeczno-gospodarczych, ustanowionych przez władzę świecką, Episkopat wyjaśni duchowieństwu, aby nie sprzeciwiało się rozbudowie spółdzielczości na wsi, ponieważ wszelka spółdzielczość w istocie swej jest oparta na etycznym założeniu natury ludzkiej, dążącej do dobrowolnej solidarności społecznej mającej na celu dobro ogółu.
- 7 Kościół, zgodnie ze swymi zasadami, potępiając wszelkie wystąpienia antypaństwowe, zwłaszcza będzie się przeciwstawiał nadużywaniu uczuć religijnych w celach antypaństwowych.
- 8 Kościół Katolicki, potępiając zgodnie ze swymi założeniami każdą zbrodnię, zwalczać będzie również zbrodniczą działalność band podziemia i będzie piętnował i karał konsekwencjami karnicznymi duchownych winnych udziału w jakiegokolwiek akcji podziemnej i antypaństwowej.
- 9 Episkopat, zgodnie z nauką Kościoła będzie popierał wszelkie wysiłki zmierzające do utrwalenia pokoju, będzie się przeciwstawiał w zakresie swych możliwości wszelkim dążeniami do wywołania wojny.
- 10 Nauka religii w szkołach:
  - a) Rząd nie zamierza ograniczać obecnego stanu nauczania religii w szkołach; programy nauczania religii będą opracowane przez władze szkolne wspólnie z przedstawicielami Episkopatu, szkoły będą zaopatrzone w odpowiednie podręczniki; nauczyciele religii świeccy i duchowni będą traktowani na równi z nauczycielami innych przedmiotów; wizytatorów nauczania religii władze szkolne będą powoływały w porozumieniu z Episkopatem.

- b) Władze nie będą uczniom stawiały przeszkód w braniu udziału w praktykach religijnych poza szkołą.
- c) Istniejące dotychczas szkoły o charakterze katolickim, będą zachowane, natomiast Rząd będzie przestrzegać, aby szkoły te lojalnie wykonywały zarządzenia i wypełniały program, ustalony przez władze państwowe.
- d) Szkoły prowadzone przez Kościół Katolicki będą mogły korzystać z praw szkół państwowych na ogólnych zasadach, określonych przez odpowiednie ustawy i zarządzenia władz szkolnych.
- e) W razie tworzenia lub przekształcania szkoły zwykłej na szkołę bez nauki religii, rodzice katolicy, którzy będą sobie tego życzyli, będą mieli prawo i możliwość posyłania dzieci do szkół z nauczaniem religii.
- 11 Katolicki Uniwersytet Lubelski będzie mógł kontynuować swą działalność w obecnym zakresie.
- 12 Stowarzyszenia katolickie będą korzystały z dotychczasowych praw po zadośćuczynieniu wymogom, przewidzianym w dekreście o stowarzyszeniach. Te same zasady dotyczą Sodalicji Mariańskich.
- 13 Kościół będzie miał prawo i możliwość prowadzić w ramach obowiązujących przepisów akcje charytatywne, dobroczynne i katechetyczne.

- 14 Prasa katolicka i wydawnictwa katolickie będą korzystały z uprawnień, określonych przez odpowiednie ustawy i zarządzenia władz na równi z innymi wydawnictwami.
- 15 Kult publiczny, tradycyjne pielgrzymki i procesje nie będą napotykały na przeszkody. Obchody te dla zachowania porządku będą uzgadniane przez władze kościelne z władzami administracyjnymi.
- 16 Duszpasterstwo wojskowe będzie uregulowane specjalnym statutem, opracowanym przez władze wojskowe w porozumieniu z przedstawicielami Episkopatu.
- 17 W więzieniach karnych opiekę religijną będą sprawowali kapelani, powołani przez odpowiednie władze na wniosek biskupa ordynariusza.
- 18 W szpitalach państwowych i samorządowych opiekę religijną nad chorymi, którzy sobie tego życzą, będą wykonywali kapelani szpitalni, wynagradzani w drodze specjalnych umów.
- 19 Zakony i zgromadzenia zakonne w zakresie swego powołania i obowiązujących ustaw, będą miały całkowitą swobodę działalności.

Podpisano w Warszawie dnia 14 kwietnia 1950 r.

Min. Administracji Publicznej  
(—) Władysław Wolski  
Wicemin. Obrony Narodowej  
(—) Edward Ochab  
Poseł na Sejm Ustawodawczy  
(—) Franciszek Mazur

Sekretarz Episkopatu  
(—) Ks. Bkp Z. Choromański  
Ordynar. Diecezji Płockiej  
(—) Ks. Bkp T. Zakrzewski  
Ordynar. Diecezji Łódzkiej  
(—) Ks. Bkp Michał Klepacz

### WYTYCZNE

W JEDNYM Z NAJTRUDNIEJSZYCH ZAGADNIENI WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA POSZLIŚMY WŁASNĄ POLSKĄ DROGĄ. UREGULOWANIE STOSUNKÓW MIĘDZY KOŚCIOŁEM A PAŃSTWEM W FORMIE DWUSTRONNEJ UMOWY JEST CIOSEM DLA TYCH WSZYSTKICH SIŁ, KTÓRE CHCIAŁYBY WIDZIEĆ W POLSCE TEREN ZAMĘTU I PROWOKACJI.

UREGULOWANIE STOSUNKÓW MIĘDZY KOŚCIOŁEM A PAŃSTWEM JEST AKTEM PIONIERSKIM NA DRODZE WSPÓŁZYCIA OBU TYCH INSTYTUCJI W EPOCE SOCJALIZMU. KROKU TEGO DOKONANO W POLSCE.

JAKO KATOLICY I POLACY CZUJEMY SIĘ W OBOWIĄZKU WYRAZIĆ NASZ PODZIWI I UZNANIE DLA RZĄDU POLSKIEGO I DLA DOSTOJNEGO EPISKOPATU POLSKI, ŻE POMIMO OCZYWISTEJ ODREBNOŚCI ŚWIATOPOGLĄDOWEJ UMIANO ZNALEŻĆ ROZWIĄZANIE TRUDNOŚCI W INTERESIE MAS, TWORZĄCYCH JEDNOCZEŚNIE SPOŁECZNOŚĆ RELIGIJNĄ I PAŃSTWOWĄ.

JAKO CZŁONKOWIE ZESPOŁU „DZIS I JUTRO“ I „SŁOWA POWSZECHNEGO“ PRAGNIEMY SIĘ PODZIELIĆ Z NASZYMI CZYTELNIKAMI MOMENTEM DUŻEJ SATYSFAKCJI, PONIEWAŻ UREGULOWANIE STOSUNKÓW MIĘDZY KOŚCIOŁEM A PAŃSTWEM BYŁO OD LAT JEDNĄ Z WYTYCZNYCH NASZEJ DZIAŁALNOŚCI.

### PROTOKÓŁ

#### Wspólnej Komisji Rządu R. P. i Episkopatu w związku z zawartym porozumieniem

- 1 Wobec uzgodnienia stanowiska przedstawicieli Rządu RP i Episkopatu Polskiego w sprawie działalności „CARITAS“ i w celu normalizacji stosunków między Państwem a Kościołem, organizacja kościelna „Caritas“ przekształca się w Zrzeszenie Katolików dla niesienia pomocy biednym i potrzebującym. Zrzeszenie oprze swą działalność na oddziałach odpowiadających podziałowi administracyjno-terytorialnemu kraju. Episkopat, w myśl założeń charytatywnych Zrzeszenia, umożliwi, zgodnie z zasadami oraz praktyką Kościoła Katolickiego działalność duchownym, pragnącym pracować w tym Zrzeszeniu.
- 2 Rząd RP realizując ustawę o „przejęciu przez Państwo dóbr martwej ręki...“ w ramach art. 2 p. 3 i art. 7 p. 1 ustawy, rozważy potrzeby biskupów i instytucji kościelnych celem uwzględnienia tych potrzeb i przyjęcia im z pomocą.
- 3 Fundusz Kościelny będzie przekazywał odpowiednie sumy do dyspozycji ordynariuszów diecezji.
- 4 Realizując ustawę o służbie wojskowej, władze wojskowe będą stosowały odroczenia dla alumnów seminariów duchownych w celu umożliwienia im ukończenia studiów, zaś księża po wyswięceniu i zakonnicy po złożeniu ślubów nie będą powoływani do czynnej służby wojskowej, lecz będą przenoszani do rezerwy z zakwalifikowaniem do służby pomocniczej.

Podpisano w Warszawie, dnia 14 kwietnia 1950 r.

Min. Administracji Publicznej  
(—) Władysław Wolski  
Wicemin. Obrony Narodowej  
(—) Edward Ochab  
Poseł na Sejm Ustawodawczy  
(—) Franciszek Mazur

Sekretarz Episkopatu  
(—) Ks. Bkp Z. Choromański  
Ordynar. Diecezji Płockiej  
(—) Ks. Bkp T. Zakrzewski  
Ordynar. Diecezji Łódzkiej  
(—) Ks. Bkp Michał Klepacz



Aleksander Rogalski

## WSPÓŁTWÓRCA HUMANISTYKI — JAKUB BURCKHARDT

Pół wieku upłynęło w roku 1947 od śmierci Jakuba Burckhardta. Okres to dostatecznie wielki, zwłaszcza w naszej niespokojnej i kapryśnej epoce, by mógł dostarczyć perspektywy potrzebnej dla właściwej oceny człowieka i twórcy. Otóż jest rzeczą uderzającą, że Jakub Burckhardt należy do tych nielicznych wielkości XIX wieku, które wciąż jeszcze ciążyą nad naszą dzisiejszą rzeczywistością duchową, i które wciąż jeszcze posiadają żywą wartość.

Ten „mędrzec z Bazylei”, jak go powszechnie nazywano, swoimi książkami: „Cicerone”, „Kultura renesansu we Włoszech”, „Rozważania nad dziejami powszechnymi”, „Historia kultury greckiej” i „Studia historyczno-kulturalne” oraz szkicami z zakresu sztuki zdobył sobie w humanistyce niepospolitą pozycję, a w ciągu swej pięćdziesięcioletniej działalności profesorskiej na uniwersytecie bazylejskim stał się sam żywym ośrodkiem promieniowania humanizmu najczystszej gatunku.

Ogromny wkład Jakuba Burckhardta do humanistyki jest tym bardziej uderzający, że nie stworzył on żadnej szkoły ani żadnego systemu naukowego w zakresie historii kultury i historii sztuki, a dorobek jego życia posiada właściwie charakter fragmentaryczny, utrudniający sprowadzenie go do jakiegoś wspólnego mianownika. Lecz bardzo wcześnie począł Burckhardt budować własny, całkiem odrębny pogląd na istotę dziejów i dziejopisarstwo. Wysoki szacunek dla Rankego, którego był uczniem na uniwersytecie berlińskim, nie przeszkodził mu w oderwaniu się od sugestii mistrza, jakoby zadanie historii polegało na opowiadaniu o tym, „jak właściwie było”. Burckhardt od samego początku swej działalności naukowej wykazywał skłonność do przekrojowego ujmowania materii historycznej, pozwalającego na uchwycenie wielkich związków, do wydobywania z dziejów tego, co w nich jest stałe, jednakowe i typowe mimo wszelkiej ich zmienności, przyczyny jednak dociekania spekulatywne były mu całkowicie obce. Już w liście do Karola Freseniusa z 1842 r. pisał: „Człowiek jak ja, który nie jest zdolny do spekulacji i na myślenie abstrakcyjne nie poświęcił nawet ani jednej minuty w roku, czyni najlepiej, jeśli stara się wyjaśnić sobie wyższe zagadnienia swego życia i swoich studiów w sposób, który mu najlepiej odpowiada. Istotne dla mnie jest spojrzenie skierowane coraz bardziej na to, co najważniejsze, spojrzenie coraz bardziej się wystrajające. Z natury lgnę do materii, do substancji, do natury widzialnej i do historii. Ale udało mi się grogą nieustannego porównywania faktów (co leży w mojej naturze) wyabstrahować niejedno ogólne. Ponad tym wielokształtnym ogólnym wznosi się jeszcze wyższe ogólne i być może — osiągnę i ten stopień poznania. Nie wyobrażasz sobie w ogóle, jak poprzez ten może jednostronny wysiłek, fakty dziejowe, dzieła sztuki, pomniki wszystkich czasów zdobywają stopniowo znaczenie świadków minionego stadium rozwojowego ducha. Wierz mi, często budzi się we mnie czcigodny dreszcz, gdy wyraźnie dostrzegam w przeszłości — terazniejszość. Najwyższym przeznaczeniem dziejów ludzkości jest rozwój ducha dla wolności. Stało się to moim przewodnim przeświadczeniem i dlatego studia moje nie są sprzeczne z moją istotą, nie mogą mnie obniżyć, mój dobry geniusz musi pozostać przy mnie na całe życie. — Historia jest i pozostaje dla mnie Poezją w największej mierze, naturalnie patrzę na nią nie w sposób romantyczno-fantastyczny, co by się na nic nie przydało, lecz jak na cudowny proces przeobrażeń

i nowych, wiecznie nowych odsłoneń ducha. Na tym krańcu świata stać będą i wyciągam ramiona swe ku przyczynie wszystkich rzeczy i dlatego jest historia dla mnie prawdziwą poezją, poezją, która może być opanowana przez ogląd (durch Anschauung)”.

W ogóle ogląd stanowił jedną z najistotniejszych cech jego osobowości. „Tam, gdzie nie mogę wyjść od oglądu, niczego nie potrafię osiągnąć”, wyznawał dodając jednocześnie, że zarówno jego studia historyczne jak i badania nad sztuką wywodzą się z „ogromnego pragnienia oglądu”. Tym samym, jak stwierdza jeden z jego krytyków (Ronald Loesch), Burckhardt reprezentuje typ ejdetyczny w znaczeniu goethowskim, typ ujmujący byt i świat w obrazach.

Stąd zrozumiałe też, że najgłębsze korzenie jego metody tkwiły — mimo pełnego dogolenia przezeń doniosłości badań źródłowych i ich użyteczności — we fantazji, która — jak się wyrażał — „zawsze uchodziła za coś boskiego”. Jednoczyła ona pasywność poety, artysty i sumiennosc oraz ścisłość uczonego. Redukowała zjawiska duchowe do pojęć życiowych i kierowała uwagę mniej na rzeczowe osiągnięcia, niż na żywe istnienie, na zjawiska życia i postaci życia, by „doprowadzić je do wyrazu”. Zgodnie z tym za kulturą hellenicką widział Burckhardt hellenickiego człowieka, za kulturą okresu heroicznego — człowieka heroicznego itd. Stąd wywodzi się cała nowsza literatura historyzoficzna, pełna wizji o człowieku gotyckim, barokowym i sentymentalnym. Stąd się wzięły u Lamprechta koncepcje okresów kulturowych, a u Spenglera dusze kultur (Kulturseele), i liczne inne pojęcia. Stanowią one typowe przykłady zastosowania tzw. „związku wyrazu” jako kategorii humanistycznej.

W swoich kulturalno - historycznych dziełach usiłuje Burckhardt zobrazować całokształt sił duchowych epoki. Nie gubi się w tym, co jest odosobnione i osobliwe. Indywidualne zjawisko, indywidualne przeżycie posiada znaczenie tylko o tyle, o ile jest wyrazem tego, co jest zasadnicze i typowe. Celem poznania historycznego jest to, co stałe i co w końcu okazuje się większe i ważniejsze aniżeli to, co chwilowe, właściwość ważniejsza od czynu. W tym tkwi tajemnica burckhardtowskiej rekonstrukcji historycznej, tej sztuki przekroju, której nauczyli się odeń Karol Lamprecht i Oswald Spengler i którą Max Weber rozbudował w swej teorii nauk historycznych i socjologii. Na takich założeniach opierając się dał Burckhardt całkowicie nowy obraz Grecji antycznej. Za zadanie postawił sobie „dać historię greckiego sposobu myślenia i greckiego poglądu na świat oraz starać się o poznanie żywych sił, twórczych i niszczących, jakie czynne były w życiu greckim”. W rezultacie Burckhardt zdarł z obrazu Grecji starożytnej klasycystyczny mit, jakim go otoczył Winkelmann ukazawszy straszliwą rzeczywistość życia, która tała się za doskonałą i harmonijną sztuką, ciemne tło bezlitosnych walk o władzę i tragiczne napięcie między jednostką a społeczeństwem. Zniszczył idealistyczne wyobrażenie o Sparcie jako o państwie surowej obywatelskiej moralności i dyscypliny, bo dowiódł, że państwo to stworzone przez bezwzględny kast wojowników, zbudowane na ujarzmieniu innych warstw społecznych, a więc pozbawione trwałych fundamentów, było ciągle śmiertelnie zagrożone i preto zniewolone do największego okrucieństwa. Ale i Ateny demokratyczne

przeszły być w optyce Burckhardta wzorem myśli państwowej i obywatelskiego wychowania.

Nie znaczy to jednak, by za tymi operacjami kryła się pasja do niszczenia iluzji. Przeciwnie, bezlitosne spojrzenie na rzeczywistość historyczną tym łatwiej pozwala Burckhardtowi uchwycić sens przebiegu dziejowego w poszczególnych narodach i kulturach. Uwidoczniło się to zwłaszcza w jego poglądzie na okres hellenizmu. Podczas gdy Spengler głównie na analizie epoki hellenizmu, w której dopatrywał się paraleli do naszych czasów, oparł swą tezę o rozpadzie i upadku kultur, izolując organizm biologiczny od życia duchowego, Burckhardt zjawiskom dekadencji przeciwstawia działające nadal siły kulturotwórcze, które wychodząc poza ówczesny świat „stanowią wielki środek ciągłości ducha między starożytnym i rzymskim a średniowiecznym światem”. Albowiem wierzył on niezłomie w „zmiennosc ducha, lecz nie w jego przemijalność”.

Wreszcie Burckhardt w miejsce delikatnego Renesansu Erazma z Rotterdamu dał Renesans ludzi gwałtu i siły, których jego fantazja podziwiała, ale sumienie potępiało. Uczynił to w swej „Kulturze Renesansu we Włoszech”. Ugruntowała ona jego „sławę literacką, choć była tylko ulamkiem zamierzonego, a nigdy nieureczywistnionego większego przedsięwzięcia, mającego przedstawić Odrodzenie jako „matkę i ojczyznę nowoczesnego człowieka” w myśleniu i uczuciu jaki i w obrazie form”, stając się w jedno dzieje sztuki i kultury. Dzieło to — wślawiło nazwisko Burckhardta — jednak dopiero po jego śmierci. Jeszcze bowiem w kilka lat po jego wydaniu rozeszła się w sprzedaży nie więcej niż 20 egzemplarzy. Burckhardt w tej książce skromnie nazwanej przezeń „próbą” (Versuch) nadał, jak stwierdza J. Huizinga, pojęciu renesansu, a zarazem kultury tę „uszlachetniającą głębię, która zapewniła obu określeniom wspaniałą i międzynarodową przeszłość”. Dzięki niej też stał się Burckhardt twórcą estetycznego nimb renesansu. Wbrew własnym zamiarom, ponieważ renesansowych ludzi gwałtu i siły typu Viscontiego i Cezara Borgii przedstawił bez upiększenia w całej ich grozie i nieduwznicznej zbrodniczości. To Nietzsche dopiero, który słuchał wykładów Burckhardta w Bazylei, uczynił z renesansu rodzaj religii. Wielbił on przemoc i potęgę, nie znając żadnych granic wolę życia. Dla niego historyczna przeszłość pętała tylko ducha rwącego się ku przyszłości, osłabiała jego zdobywczość. Dlatego domagał się zerwania z nią związków, choćby nawet za cenę regresji do barbarzyństwa. Burckhardt zaś trzymał się silnie tradycji i ciągłości rozwojowej kultury. „Bardzo łatwo — mawiał on — jest zniszczyć, ale bardzo trudno stworzyć coś nowego”. Świadomość duchowego pochodzenia, świadomość przeszłości odróżnia jego zdaniem człowieka wykształconego, jako świadomego od barbarzyńcy jako nieświadomego; podobnie jak spojrzenie w przeszłość i przyszłość odróżnia człowieka od zwierzęcia, choćby nawet przeszłość przynosiła wyrzuty, a przyszłość troski, o czym zwierzę nic nie wie”.

Drogi mistrza i ucznia musiały iść w zupełnie przeciwnych kierunkach także z powodu głębokiego idealizmu etycznego Burckhardta. Kanonem jego wiary życiowej było niezłomne przekonanie, że „charakter jest dla człowieka czymś znacznie ważniejszym niż bogactwo umysłu”. Nie odłączał on przejawów piękna od moralności. Nic nie

było dlań bardziej obce niż estetyzm. Toteż dzieła sztuki oceniał również z punktu widzenia ich wartości etycznej. Uwidoczniło się to zwłaszcza w jego sądach o Michale Aniele, Corregio, Rembrandcie, Berninim, Delacroix i Ry szardzie Wagnerze, którym wytykał bądź egocentryzm i samochwałę, bądź przesadę i brak umiaru.

Z tego samego stanowiska patrzył także Burckhardt na wielkie indywidualności polityczne, zwłaszcza w swych „Rozważaniach nad historią powszechną”. Nie stawiał on ich, jak Nietzsche, „poza dobrem i złem”. „Silniejszy nie jest jeszcze tym samym lepszy. Z tego, że ze złego wyłoniło się dobre, a z nie-szczęścia szczęście, nie wynika jeszcze, by zło i nieszczęście przestały być tym czym były”. Prawdziwa zaś wielkość ludzka jest tajemnicą. Prawdziwa wielkość jest wielkością duszy, opiera się ona nie tylko na mądrości ale i na dobroci. W ogóle historyczna optyka Burckhardta nacechowana jest najczystszym humanizmem. Albowiem w miejsce opisu wydarzeń i ich uszeregowania wedle naczelnych idei stawia on konkretny ludzki punkt widzenia: „Cierpiący, dążący i działający człowiek jest, był zawsze i będzie jedynym trwałym i możliwym centrum” — stwierdzał w „Weltgeschichtlichen Betrachtungen”.

Człowieka o takiej postawie duchowej rozważania nad dziejami politycznymi ludzkości musiały napędląć głębokim smutkiem. Lecz przed pesymizmem chroniło go zrozumienie, że nad ludzkością panuje nie tylko polityka, ale jeszcze dwie inne „potencje”: religia i kultura. Badaniom nad tą ostatnią zwłaszcza poświęcał się ze szczególnym zamiłowaniem. Tutaj przestawał być sceptykiem, przeobrażał się w wyznawcę i czciciela. Wierzył w ciągłość ducha europejskiego od antyku aż po czasy dzisiejsze, w bezcenne dziedzictwo ideałów wolności, tolerancji i ludzkości. Miłość jego dla tych wartości była tym żarliwsza, że przenikała ją świadomość ich kruchości, ich zagrożenia. Dwa te pierwiastki: miłość kultury i lęk o nią w połączeniu z wyjątkowo czujnym zmysłem obserwacyjnym nadaje Burckhardtowi obok oblicza historyka kultury i sztuki również oblicze wizjonera i profety.

Uwaga jego skierowana na stałe elementy przebiegu dziejowego pozwoliła mu w stopniu większym, niż to się udało innym badaczom, dostrzec w czas siły destrukcyjne, objawy rozpadu i rozprężenia w kulturze europejskiej. Tak się zrodziła jego wizja głębokich kryzysów Europy w wieku dwudziestym i ery wojen światowych, która znalazła zdumiewające potwierdzenie w rzeczywistości. W epoce, w której żył Burckhardt, w epoce spokoju i bezpieczeństwa, w której pod sugestią nowych wielkich odkryć i wynalazków widziano dopiero wspaniałą początek rozwoju cywilizacji ludzkiej, niezmiernie mało ludzi dostrzegało zbliżające się wstrząsy i burze. Burckhardt nie dał się zwiść blaskom zewnętrznego dobrobytu i pozorom europejskiej równowagi politycznej.

A jednak choć Burckhardt pełen był największych obaw, nie widział w kryzysie zła bezwzględne. Wydawało mu się, że może on posiadać pewną wartość dodatnią jako próba i oczyszczenie ludzkości. „Kryzysy i nawet fanatyzmy — pisał w „Rozważaniach” — można uważać (naturalnie zależnie od wieku, w jakim znajduje się dany naród!) za prawdziwe znaki życia, sam kryzys zaś za samopomoc natury podobnie jak gorączkę, fanatyzmy wreszcie za objaw tego, że ma się jeszcze

rzeczy, które się wyżej szacuje aniżeli majątek i życie. Nie trzeba być tylko fanatycznym wobec drugich, a wobec siebie trzęsącym się ze strachu egoistą. W ogóle wszystkie duchowe rozwoje odbywają się skokami: jak jednostki tak i tu w zbiorowości kryzys należy uważać za nowy węzeł rozwojowy. Kryzysy usuwają najpierw pewną ilość form życiowych, z których życie dawno uszło, które inaczej by wraz ze swymi historycznymi prawami nie były do usunięcia. Następnie jednak usuwają także pseudoorganizmy, które w ogóle nie posiadały prawa bytu, a przecież z biegiem czasu zaasekurowały się w sposób najsilniejszy u całego pozostałego życia, a które przede wszystkim spowodowały predykcję do wszystkiego, co mierne, i nienawidź do wszystkiego, co niezwykle. Wiąże się to z ogólnym prawem rządzącym według Burckhardta dziejami kultury ludzkiej, sprawiającym, że ziemskie formy życia wzrastają i dochodzą do rozkwitu, stopniowo przeobrażają się, ulegają zeskorupieniu i wreszcie rozpadają się podczas gdy duch już buduje sobie coś nowego. „czego zewnętrzny kształt w swoim czasie dozna tego samego losu”.

Na dnie swego serca zachowuje Burckhardt nadzieję na ostateczne ocalenie naszego świata. Czas katastrof i kryzysów, jakie przewidywał, uważał za czas próby. „Wszystko zależy od tego — pisał w swych „Fragmentach historycznych” — jak nasza generacja tę próbę przeżyje. Mogą przyjść czasy grozy i największej niedoli. Chcielibyśmy bardzo wiedzieć, na jakiej fali płyniemy ku oceanowi, jeno, że my sami jesteśmy tą falą. Ale na zagładę nie jest jeszcze ludzkość skazana i natura stwarza nadal tyle dobrego co zwykle...”

Oczywiście, humanistyka burckhardtowska nie wolna jest od braków i słabości. Są one nawet oczywiste dla nas, którzy zaczynamy rozumieć wagę społeczno - gospodarczego czynnika w procesach kulturowych. Ogólnie biorąc można je ująć w stwierdzeniu, że po pierwsze Burckhardt idąc za kierunkiem idealistycznym izoluje kulturę od innych dziedzin życia i działalności ludzkości, a po wtóre, iż przebijając w świecie ksiąg, sztuk pięknych i ducha, nie widział w rzeczywistości tych młodych i twórczych sił, które miały przynieść odnowienie naszej kultury i pomóc jej. Przed grozą swoich czasów, w których występować zaczęły już wszystkie złośliwe objawy cesaryzmu i barbarzyństwa zapowiadające faszyzm, uciekał się do krainy kultury jak do oazy. Stąd jest u niego melancholia typowa dla schyłkowych epok cyklu historycznego. Jego zaś arystokratyzm duchowy nie pozwalał mu dostrzec w tym co się działo w łonie mas napawających go takim lękiem, bieguną dodatniego, konstruktywnego. Dlatego, choć Burckhardt wierzył w przyszłość ludzkości i niezniszczalność rdzenia naszej kultury, to jednak optymizm jego był zbyt cienki, zbyt anemiczny. Całkowite wreszcie niedocenianie przezeń elementów gospodarczych w rozwoju sztuki było w niejednym wypadku przyczyną jego chybionych ocen czy też niewłaściwych perspektyw.

Niemniej jednak pewne zrozumienie układu sił społecznych i ich gry w epoce Burckhardta, zrozumienie tego, co determinowało tę epokę, musi nas skłonić do sprawiedliwego przyznania mu wielkich zasług dla humanistyki europejskiej.

Aleksander Rogalski



Wojciech Kętrzyński

# ZAGADNIENIE SZWEDZKIE

Gdyby się spytać pierwszego z brzegu przechodnia — gdzie dziś w Europie największy dobrobyt, co by odpowiedział? Odkładając na bok rozważania na temat osobistych przekonań, odpowiedź będzie prawdopodobnie wszędzie brzmiała jednakowo — tam, gdzie udało się uniknąć wszystkich straszliwych kataklizmów i zniszczeń, nawiedzających Europę z niepokojącą regularnością.

## Szwecja!

Kraj mały, hojnie obdarzony przez naturę, dysponujący wartościami

handlarzy, nie odczuwał skrupułów w wyborze klientów. Sprzedawał każdemu, kto zapłacił. Zresztą jego słabość militarna była zawsze najlepszym argumentem wobec ewentualnych pretensji. Jakżeż mógł odmówić — skoro nalegał? Nie daj Boże, gdyby się zgnicwał!

Szwecja, kraj nadmorski, wyposażony w liczne porty i doborowe stocznie, służył swą flotą handlową każdemu, kto z niej chciał i mógł skorzystać. Kraj o typowej pozycji pośrednika zarabiał na

Wenecjanami. Nowowzniesiony, tuż nad wodą wielki gmach ratusza miejskiego, odbijający się ostro swym krwawo-czerwonym kołorytem od ciemnego tła zieleni, ozdobiony dużą prostokątną wieżą, uzbrojoną w zaśniedziały hełm, jak żywo przypomina nam autentyczną Wenecję. Tylko że niebo nie ma nad Sztokholmem włoskiego kołorytu, a falam bałtyckich fiordów brak tego wdzięku, jakie mają ich adriatyckie siostry, niosące jednakowo pięknie czarną gondolę, jak i aksamitny śpiew gondoliera.

Nowy ratusz sztokholmski swą architekturą, swymi proporcjami przepychem swych wnętrz, rozmachem koncepcyj miał być wyrazem tego, na co dziś stać naród szwedzki. Na rozmach szwedzkiego budownictwa napotykamy się tam ciągle. Widać, iż mamy do czynienia z narodem, który stać na duże dzieła, i który solidnie i konsekwentnie pragnie swe bogactwa dla własnych korzyści wykorzystywać. Toteż rozmach ten jest praktyczny bardziej niż monumentalny. Bloki domów wybudowane na granitowych skałach, wyspy połączone ze sobą dziesiątkami mostów, nowoczesne rozwiązania urbanistyczne, ulice, krzyżujące się na różnych poziomach doskonale funkcjonująca komunikacja miejska — oto widoczny przedmiot wysiłku i osiągnięć techniki szwedzkiej.

Szwed posiada, na wzór Anglikańizmu, własny, państwowy kościół protestancki. Wpływ czynnika protestanckiego na życie jest bardzo duży, odbija się to przede wszystkim na spurytanizowaniu obyczajów, dających społeczeństwu zewnętrzne pozory niesłychanej dyscypliny moralnej. Alkohol jest reglamentowany, by zabezpieczyć Szweda przed niebezpieczeństwami pijaństwa, do czego ma ponoć skłonności. Zabawy są również reglamentowane — ograniczenia dotyczące wszelkich lokali rozrywkowych, wysoki podatek od konsumpcji i od publicznych rozrywek ma Szweda utrzymać w domu, zdala od niebezpieczeństw demoralizacji.

Czy jednak niewątpliwy dobrobyt i wysoki standart cywilizacyjny jest w Szwecji gwarantem szczęścia? Czy styl życia społeczeństwa szwedzkiego pozwala stawiać go za wzór?

## BOGACTWO — DEMOKRACJA

Problem szczęścia nie jest, rzecz oczywista, taki prosty, szczęście

wszystkim. Cokolwiek się działo dobrego czy złego — był niewątpliwie potrzebny i ceniony partnerem. Cenniejszym nawet od Szwajcarii, którą położenie kontynentalne zamykało pośród walczących stron. Szwajcaria służyła w czasie wojny dla lokat kapitałów niespokojnych o swe losy mężów stanu i bankierów, oraz za miejsce spotkania wywiadów całego świata. Szwecja wzięła na siebie jeszcze intratniejszą rolę — faktora.

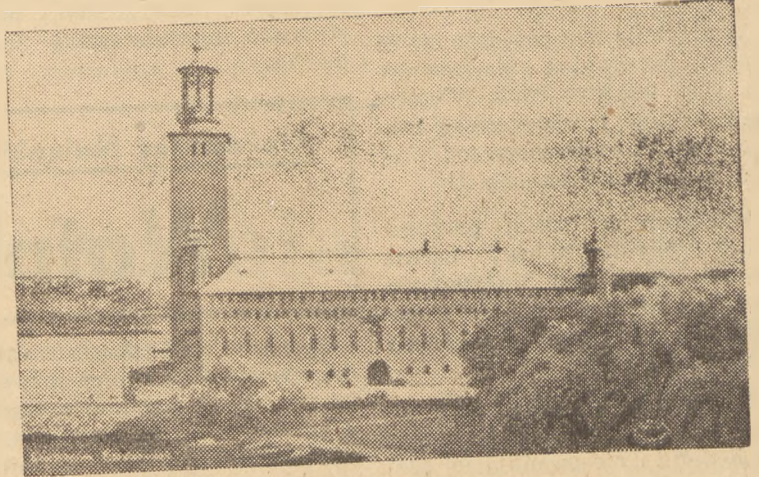
W różnych okresach, różnym narodom nadmorskim zdarzało się wygrać taki los na loterii dziejowej. Hiszpania, Anglia czy Holandia w epoce nowożytnej, a Fenicja nie czy Kartagińczycy w starożytności. Tak jak Hanza, Genua czy Wenecja na przełomie średniowiecza i renesansu.

Może więc nie jest tylko nie mówiącym skojarzeniem, że Sztokholm nazywa się Wenecją północy. Może to związane jest nie tylko z malowniczym nadmorskim położeniem, lecz i ze swoistą rolą, jaką tej „Wenecji północy” przyszło wypełniać w pierwszej połowie XX wieku.

W istocie Szwedzi muszą czuć jakieś duchowe pokrewieństwo z

oni żyją, jest stanem wyjątkowym i, rzecz można, okupionym krwią i nieszczęściem niemal całego świata. Jeśli nie mają poczucia, że są oni bezpośrednimi tej krzywdy sprawcami, to zdają sobie sprawę, że utrzymanie swego dobrobytu

szta stawkę pięć ma w Szwecji 32,8 proc. pracowników najemnych, a suma ich płac stanowi 11,1 proc. całości płac za prace najemną, natomiast 1,3 proc. Szwedów posiada place przewyższające 20.000 koron, co wynosi również 11 proc.



Sztokholm — ratusz

zawdzięczają okolicznościom niespodziewanym i przejściowym, i że, być może już niedługo, przyjdzie im wyrównywać swój standart życiowy do reszty świata. Jakkolwiek nie są skąpi, i szeroko pojętą dobroczynnością próbują zaciągnięty dług wyrównywać, wizja czasów, gdy wyrównanie ogólnospołecznych stosunków światowych przekreśli ich rolę wielokapitalistycznego pośrednika — spędza nie jednemu Szwedowi sen z powiek.

Niezależnie jednak od ogólnoswiatowych wyrównań — istnieje i wewnętrzny problem sprawiedliwego rozdziału nagromadzonych dóbr. Szczęście społeczne bowiem nie mierzy się nigdy sumą rzeczy osiągniętych, lecz kontrastem istniejącym między potrzebami jednych a możliwościami drugich.

W czasie wojny produkcja przemysłu szwedzkiego wzrosła o 55 proc. Był to więc czysty zysk wojenny. Liczba ludzi bogatych, to znaczy, których dochody roczne przekraczają sumę 20.000 koron, wynosiła w roku 1939 — 145.156, zaś w roku 1947 podniosła się do 297.311 — można by wnioskować stąd, że powszechne podniesienie się dobrobytu powinno było zadowolić wszystkich.

Rzeczywistość przedstawia się mniej idyllicznie.

Średnia płacy wynosi w Szwecji 4.584 korony rocznie. Nie jest to wiele, biorąc pod uwagę że Szwecja jest krajem nie tylko kosztownym, lecz o wysokim standardzie życiowym, którego się trzeba trzy-

sumy płac. Rachunek prosty: 32,8 proc. pracowników zarabia tyle samo co 1,3 proc.

Ogólnie biorąc — 12,5 proc. ludności zarobkującej dysponuje majątkiem wynoszącym więcej niż 100.000 koron, ale majątek ich wynosi 49,5 proc. majątku ogólnego. Milionerów posiada Szwecja tylko 1.018, ale są oni posiadaczami 2,2 miliarda koron — stanowiących 11 proc. szwedzkiego majątku.

Czy cyfry te odzwierciedlają tylko rozłożenie środków materialnych w społeczeństwie szwedzkim? Gdyby tak było, to ostatecznie pół biedy. Wiadomo, że skala progresji podatku jest w Szwecji duża, można by sądzić, że te same środki drogą świadczeń rozprwadane są równo w społeczeństwie.

Zbytne dowierzanie szlachetności ludzkiej prowadzi przeważnie do niebezpiecznych iluzji, które dla chrześcijańskiej wizji świata są wyjątkowo niebezpieczne.

Szwecja jest krajem kapitalistycznym, opartym na prywatnej inicjatywie i wolnej konkurencji. W Szwecji jest dziś 22.000 przedsiębiorstw przemysłowych z czego 1.600 uspołecznionych czy spółdzielczych. Reszta, to domena kapitału prywatnego i ostoja władzy tegoż kapitału nad krajem. Trzy wielkie banki szwedzkie kontrolują z tego bezpośrednio, przez udział w zarządach — 459 kluczowymi placówkami przemysłu, w czym 169 wielkimi fabrykami, koncentrującymi 26 proc. całej siły roboczej.

Automatycznie władza ta przenosi się na całość życia społecznego. W Szwecji, tym kraju głośnym demokratycznością swych instytucji — według przeprowadzonych niedawno badań — na medycznie studiują przedstawiciele następujących klas społecznych:

- warstwy bogate — 68 proc.
- warstwy średnie — 31 proc.
- środ. robotnicze — 1 proc. (!)
- na wydziale prawa
- warstwy bogate — 75 proc.
- warstwy średnie — 22 proc.
- środ. robotnicze — 3 proc.

W szwedzkich liceach humanistycznych, to znaczy tych, które wychowują elitę intelektualną szwedzkiego społeczeństwa — ciążo nauczycielskie składa się z ludzi pochodzenia robotniczego tylko w 8 proc. Wreszcie, na kluczowych stanowiskach w administracji państwowej 81 proc. stano-

(dokończenie na str. 4)

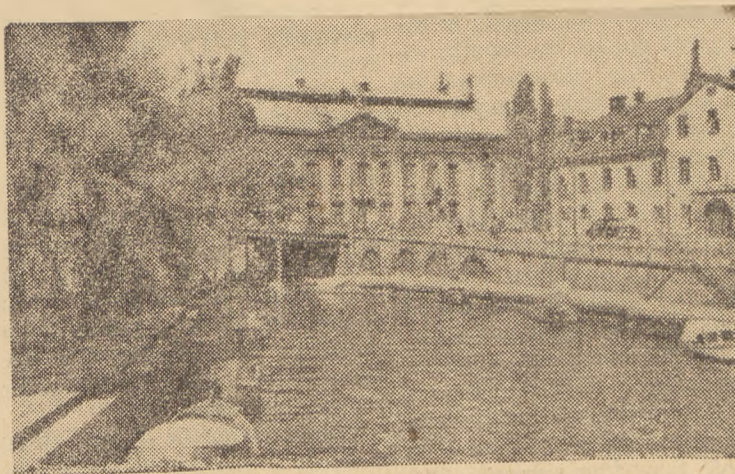


Sztokholm — kościół św. Jana

ciowymi surowcami, wymiennym położeniem geograficznym, po ważną flotą handlową, dobrymi portami. Niecałe siedem milionów ludności żyje na obszarze państwa, piątego z kolei co do wielkości w Europie. Nie ma obawy o przeludnienie. Na kilometr kwadratowy żyje przeciętnie 16,7 mieszkańców (Polska — 77 na 1 km kw.). W takich warunkach, gdy ludzie żyją w pewnym naturalnym oddaleniu od siebie, nie są stłoczeni — stosunki między ludźmi automatycznie układają się lepiej, przyjaźniej.

Przysłowiowa uczciwość szwedzka jest znana na całym świecie. Długie lata dobrobytu i spokoju dały możliwość podnieść poważnie poziom cywilizacyjny tego kraju. Analfabetyzm narówno ze złodziejstwem należy tam do minionej przeszłości.

Szwecja, kraj wysoko uprzemysłowiony, produkujący cenne części do maszyn precyzyjnych, łożyska kulkowe, półfabrykaty techniczne, przetwory drzewne, eksportujący wysokowartościowe, niezbędne dla przemysłu rudy — zarabiał podczas każdej wojny krocie milionów i miliardy na dostawach wojennych. Szwecja, kraj



Sztokholm — jeden z kanałów w mieście

bowiem nie zamykało się nigdy w kręgu materialnych problemów. Szwedzi mają poczucie, że dobrobyt swój zawdzięczają pomyślnej koniunkturze dwóch wojen, że przeto stan dobrobytu, w jakim

mać, jeśli się nie chce być w ogóle zdeklasowanym. A jednak statystyki wykazują, że 70 proc. pracowników zarabia w Szwecji mniej niż 5000 koron, czyli mniej od minimalnej przeciętnej. Najniż



# SPÓR O METODĘ

JAKO czytelnik Waszego pisma i jako katolik, interesujący się żywo zagadnieniami społecznymi, nie mogę się powstrzymać od wtrącania swoich „trzech groszy“ do dyskusji, która się toczy wśród katolików polskich i pewien wyraz znajduje się na łamach „Dziś i Jutro“.

Poruszył mnie i zastanowił artykuł p. Mazowieckiego zatytułowany „Ku społeczeństwu funkcjonalnemu“ („Dziś i Jutro“ nr 1/215).

W artykule tym znajduję nie co innego, jak zwykłą marksistowską, choć powierzchowną, interpretację dziejów, marksistowską analizę rozwoju społecznego (od Wielkiej Rewolucji Francuskiej).

Marksizm jest dzisiaj propagowany i popularyzowany bardzo szeroko, ale to jest interesujące, że także katolicki tygodnik społeczny ze swej strony występuje z lekcją marksizmu.

Na wstępie artykułu, autor oskarża katolików o to, że patrzą na historię i nie pojmują jej sensu, nie widzą praw i związków, które łączą fakty i wydarzenia w zrozumiałą obraz postępu.

Oto dosłownie: „problematyka społeczna dla wielu z nas, jest często tylko zbiorem niepowiązanych ze sobą zagadnień, sporadycznych wypadków między którymi nie wiadają zależności i związku. Historię, która nie bez powodu nazwała starożytność nauczycielką ży-

cia — pojmujemy niejednokrotnie tylko jako martwe i zamknięte archiwum faktów...“

Zupełnie poprawna marksistowska krytyka.

Narzuca się jednak prosty, a wie le mówiący wniosek: aby zrozumieć sens historii, a w dalszym ciągu pojąć prawa i odkryć drogi rozwojowe społeczeństw, należy stosować marksistowską analizę dziejów.

Aleksander Nalepiński

## Wątpliwości czytelnika

P. Mazowiecki takiego wniosku nie wyciągnął ze swoich rozważań (przynajmniej nie zrobił tego w artykule), mimo to, posługując się marksistowską analizą doszedł do mniej więcej wyraźnego sformułowania twierdzenia, że ustroj bez klasowy jest rozwojową konsekwencją i koniecznością.

„Zanalizowane dotąd procesy wskazują nam na to, że kierunek współczesnego rozwoju społecznego prowadzi do przemiany struktury społecznej, do wykształcenia się ustroju bezklasowego“.

W dalszym ciągu autor stwierdza, że nakreślona przezeń struk-

tura społeczna — „bezklasowe społeczeństwo funkcjonalne“, a więc po prostu socjalizm stawia jako „współczesny katolicki ideał struktury socjalnej“.

Zdumiewająca jest łatwość z jaką autor posklejał „katolicki ideał socjalny“ z marksizmem.

Artykuł p. Mazowieckiego, który bierze na siebie rolę programowo-ideologicznego credo katoli-

Marksa od jego materialistycznej filozofii. Twierdzą, że marksistowska nauka o społeczeństwie jest dopiero konsekwentna i pełna, gdy się ją oprze o materializm dialektyczny.

Katolik przyjmujący ekonomię Marksa musi jakieś stanowisko zająć wobec owych twierdzeń.

Rozumować po marksistowsku, snuć myśli Marksa, choćby w o-  
przędzie nowej terminologii — a

miast żelazną konstrukcję twórczej, naukowej krytyki?

Czy stanowisko zajmowane przez autora nie jest czasem cofnięciem się pod naporem rzeczywistości?

Ot, przyjmujemy socjalistyczny ustroj, przepraszam — bezklasowy funkcjonalny, bo on się właśnie na naszych oczach dokonuje, ale ponieważ z teoretycznymi założeniami (właściwie ideologicznymi) tego ustroju nie w wszystkim się zgadzamy, więc pokrywamy to milczeniem. Jakoś tam może się dać przemycić do nowego społeczeństwa chrześcijańską treść duchową. Za nim jest siła tradycji i siła... bezwładu społecznego.

Jednak to milczenie, to zmywanie różnic ideologicznych, to uchylanie się od dyskusji we właściwej płaszczyźnie światopoglądowej i naukowej nie zgadza się z odpowiedzialnością, jaką nakłada na katolików sam autor — „z odpowiedzialnością historyczną współczesnych katolików za drogi rozwojowe społeczeństw, w których żyją“.

Nade wszystko po przeczytaniu artykułu p. Mazowieckiego oparłoby mnie uczucie niepełności i jakieś nieokreślonej, ale bardzo wyraźnie odczutej fikcyjności, płynące z faktu tych wszystkich sprzeczności i powikłań, które nie mogą się doczekać na śmiałe przecięcie i wyjaśnienie jak najdokładniejsze.

Jestem przekonany, że uczucie i refleksje tego rodzaju są wspólne wszystkim katolikom. Oto chcemy mieć ustroj sprawiedliwości społecznej — bezklasowy, funkcjonalny, ale jednocześnie chcemy, by jego duchową treść zapładniało i kształtowało chrześcijaństwo. Rozumiemy to doskonale, idea socjalistyczna ma swą genezę w nauce Mistrza z Nazaretu, w Jego nakazie miłości bliźniego zaszczerpionym ludzkości przez chrześcijaństwo.

Mając głęboki kult dla nauki nie możemy przymykać oczu na argumenty obcego nam ideologicznego systemu filozoficznego.

Jeżeli ich argumenty są rzeczywiście naukowe, to to podcina naszą wiarę. Wiary się nie możemy wyrzec, ale przemilczeć ich racji także nie możemy. Cóż robić? Trzeba nam także w sposób naukowy przeciwstawić się ich teoriiom. Bez pewnych określonych teorii Marksa nie można się obejść w rozumieniu i budowaniu współczesnego, nowoczesnego społeczeństwa.

Spróbujmy przyjrzeć się teoriiom Marksa z bliska. Może wystarczy wyjaśnić i odmiennie sformułować czy zinterpretować jego niektóre twierdzenia, a pewnego dnia Marks stanie się tak samo dobrotliwym dla chrześcijańskich ideałów mędrcom jak nim był niegdyś Arystoteles — poganin.

Nie może to być okaleczenie tego systemu i uproszczenie go, ale musi być poszerzeniem Marksa o chrześcijaństwo. Marksizm w ujęciu chrześcijańskim oczywiście przestałby być marksizmem w obecnym pojęciu — stałby się chrześcijańską doktryną socjalistyczną.

Sądzę, że myśli przeze mnie wypowiedziane nie są ani nowe, ani oryginalne, próby dokonania syntezy socjalizmu i chrystianizmu czyniono już dawniej. W każdym razie to jest jedyna rozsądna droga, która pozostaje katolikom. Jeżeli ją ominą to pozostaną na straconych społecznie pozycjach.

Aleksander Nalepiński

(dokończenie ze str. 3)

wisk zajmują ludzie ze środowisk wielko-kapitalistycznych, 17 proc. — średnia burżuazja, a tylko 2 proc. — ludzie ze środowisk robotniczych. Dzieje się więc to w kraju „demokratycznym“, cieszącym się wszelkimi ułatwieniami wyborowej sytuacji materialnej i rządzonej nominalnie przez „socjalistów“. Mimo wszystko awans społeczny nie jest łatwy w Szwecji. Poza wyjątkami, robotnikom ustroj szwedzki pozwala być tylko robotnikami żyjącymi w znośnych warunkach materialnych; co do równości społecznej, to, jak się okazuje, zupełnie inna sprawa.

### PATOLOGIA DOBROBYTU

Dobrobyt jest jednym z oczywistych celów dążeń ludzkich. Do brobyt jednak jest w pewnych warunkach siłą rozkładową i niszczącą zarówno jednostkę jak i społeczeństwo.

Dobrobyt społeczeństwa, wzrost jego zdolności produkcyjnych i konsumpcyjnych wymaga zorganizowanego, świadomego wysiłku dążącego do właściwego wykorzystania posiadanych możliwości.

W Szwecji dobrobyt wzrastał spontanicznie. Znamy jego przyczyny. Dyskontowanie wygodnej pozycji neutralności podczas dwóch wojen światowych nie wyjaśnia istoty problemu. Nie zapominać, że w okresie międzywojennym Szwecja była jedynym monopolistą stali w Europie. Rudy szwedzkie uszlachetniały po-  
śledniejsze gatunki kruszców europejskich. Jasne, że klasa rządząca wolała przerzucić ciężar nieuniknionego wyzysku na barki robotników zagranicznych i uczyniła maksimum, żeby robotnik szwedzki trwał w błogim przeświadczeniu o „pokoju społecznym“. Dziś gdy na rynku zachodnio-europejskim zjawia się nowy, groźny konkurent zza Oceanu — perspektywy dalszej sielanki solidarystycznej maleją nader gwałtownie. Burżuazja szwedzka niewątpliwie wykazała się dużą dozą wewnętrznej dojrzałości czyniąc wy-

siłki, by umiejętnie i rozsądnie gospodarować gromadzącymi się obficie bogactwami. Wiemy już, że zakładała szkoły i szpitale, rozwijała oświatę i umacniała zdrowotność społeczeństwa, podatnego zresztą z racji warunków klimatycznych na rozmaite poważne dolegliwości. Mimo tych wszystkich udogodnień — Szwecja jest dziś np. krajem liczącym najwięcej wypadków obłąkania i innych chorób psychicznych. Higiena nie wystarcza dla zdrowia społeczeństwa.

Ocenia się dziś, że 60 do 70 proc. ludności szwedzkiej posiada wykształcenie przeciętnie wyższe od poziomu zachodnio-europejskiego. Jednak mimo tego, zdolności kulturotwórcze narodu szwedzkiego pozostają w dalszym ciągu niewielkie, wkład Szwecji do kultury współczesnej — bardzo mały, Szwedzi jak nie byli tak i nie są dziś krajem intelektualnie przodującym.

Inny problem — kobieta zamężna jest w obyczajach szwedzkich raczej stroną uprzywilejowaną, wyzwoloną spod wszelkiej męskiej tyranii. To raczej mężczyzna, którego już szkoła przygotowuje do udziału w gospodarstwie domowym, mógłby się uważać za poszkodowanego. Samotna kobieta z dzieckiem jest otoczona również troskliwą opieką społeczeństwa. W Sztokholmie jest 11 domów, 550 mieszkań specjalnie w tym celu przygotowanych, posiadających specjalne żłobki, przedszkola, opiekę lekarską.

Mimo tych wszystkich ułatwień rodzi się w Szwecji rocznie tylko około 135.000 dzieci, czyli 18,44 na 1000 mieszkańców. W miarę wzrostu dobrobytu, rósł w Szwecji kryzys dzietności — w roku 1885 dzietność Szwedów wynosiła 29,8 pro mille.

1913	—	24,4	pro mille
1925	—	19,1	„ „
1930	—	15,9	„ „
1934	—	13,7	„ „

W ciągu 50 lat — dzietność szwedzka spadła więc o przeszło połowę. Dla porównania — dziet-

ność reprezentowanych przez „Dziś i Jutro“, beztrudnie ignoruje marksizm, nie przyznając i nie wspominając jednocześnie ni słówkiem o tym, że metoda analizy historycznej w nim zastosowana jest, jeżeli już nie marksistowska, to w każdym razie wzorowana na marksistowskiej.

Przecież ten, zresztą zręcznie w tytule zastosowany dodatek: „funkcjonalny“ nie zmienia istoty rzeczy.

Chodzi o rzeczy zasadnicze.

Marksisci twierdzą, że nie można oddzielić socjologii i ekonomii

nie przyznawać się do tego — to niezbyt ładnie. Tym bardziej, że ta pouczająca lekcja „rozumienia historii“ przeznaczona była dla tych katolików, którzy nie mogą się połapać w problematyce społecznej, jak to autor niedwuznacznie napisał.

Czy katolicy mogą przyjąć ów ideał socjalny nakreślony przez p. Mazowieckiego, skoro u jego podstaw (ideału), w jego logicznych i teoretycznych wiązaniach są jakieś pustki ideologiczne i przepaści zamaskowane głuchym milczeniem ponad którym rzucono wątlutki mostek deklaracji za-

wyplenić z niej zasadnicze wady kapitalizmu. Nic nie zrobił, by dać społeczeństwu szwedzkiemu dynamizm ideowy niezbędny dla jego dalszego rozwoju.

Komunizm szwedzki jest jeszcze ruchem słabym. Partia liczy tam około 50.000 członków i zebrała podczas ostatnich wyborów 244.800 głosów.

Problem szwedzki pozostaje jednak niezmienny. Naród ten musi się wyrwać z atmosfery zubożeni i rozleniwienia w której się dusi. Szwedów nurtują idealistyczne tęsknoty.

Działacze szwedzcy czynni są w światowym ruchu ekumenicznym. Po wojnie Szwecja pierwsza i najbardziej skutecznie zorganizowała akcję pomocy dla zniszczonej Europy. Wydaje mi się, że tylko wielkie, humanitarne sformułowane hasła, domagające się od Szwedów konkretnego udziału w życiu Europy — mogłyby ich porwać. Jest zadaniem postępowych kół szwedzkich, by hasła te ustawiały ich kraj w obozie postępu a nie reakcji. Sądząc po reakcji przeciętnego Szweda, na stawiane mu aktualne pytania — trudno byłoby go mentalnie zaliczać do typowego obozu reakcji. Stojąc zdala od wielkich nurtów wydarzeń, zachował w sercu marzenia i nadzieje, które nie są wyrazem dążeń burżuazyjnego świata. Jednak w tej walce o przebudzenie i uaktywnienie szwedzkiego społeczeństwa, nie wystarczą wysiłki miejscowych działaczy, nie wystarczy realizowanie programu sprawiedliwego ustroju.

Dopiero na tle wylamania się ze swoistej „splendid isolation“, w której się dziś Szwecja znajduje, dopiero po uświadomieniu sobie zadań czekających ten naród poza granicami własnego państwa — dopiero w tej atmosferze istnieje możliwość zlikwidowania wad szwedzkiego ustroju i wydobycia ze stanu depresji, psychiki chorego na bezcelowy dobrobyt społeczeństwa.

Wojciech Kętrzyński



# CZY O IDEOLOGIE?

**U**DZIELANIE odpowiedzi na wszelkie głosy opinii uważam za elementarny obowiązek każdego autora. W wypadku wypowiedzi p. Nalepińskiego obowiązek ten podejmuję z tym większą ochotą i tym większym poczuciem odpowiedzialności, że zdaję sobie sprawę, że wypowiedź ta ma zasadniczy ciężar gatunkowy. Z jednej strony bowiem choć dotyczy ona bezpośrednio mojego artykułu i choć autor bezpośrednio wyłącznie ze mną polemizuje, jego zasadnicze zastrzeżenia dotyczą również szeregu innych pokrewnych zagadnień omawianych i formułowanych w licznych artykułach ideologicznych na łamach „Dziś i Jutro”. Odpowiadając więc Nalepińskiemu na zarzuty dotyczące mojego artykułu mam świadomość tego, że odpowiedź moja jest nie tylko obroną też własnego artykułu, ale pośrednio dotyczy postawy ideologicznej Zespołu. Świadomość taka oczywiście bardzo zobowiązuje. Z drugiej strony artykuł p. Nalepińskiego jest w swej całości czymś charakterystycznym, wypowiada pewną charakterystyczną postawę i jako taki zasługuje na baczną uwagę.

Muszę przyznać, że gdy przeczytałem artykuł p. Nalepińskiego i zsumowałem wszystkie ostre, a niejednokrotnie i zjadliwe pod moim adresem zarzuty byłem niezmiernie zdumiony ostateczną konkluzją autora, w której deklaruje się wyraźnie jako zwolennik socjalistycznych założeń społeczno-gospodarczych. Takiego wniosku nie oczekiwałem czytając pierwsze strony artykułu. W tych warunkach trudno mi było odpowiedzieć sobie na pytanie, czy spór między nami jest w istocie swym sporem ideologicznym czy metodologicznym.

Punkt ciężkości zarzutów mego polemisty leży w problemie stosunku do marksizmu.

Wbrew temu co mi przypisuje p. Nalepiński, ani nie marksizuję ani nie umniejszam wartości doktryny Marksa. Nie wydaje mi się, aby istniała tylko alternatywa: integralna wrogość do marksizmu, albo integralne przyjęcie marksizmu. W każdym razie dla katolika nie istnieje, lub może nie powinna istnieć żadna z tych możliwości. **Katolika obowiązuje nakaz poszukiwania prawdy, bez względu na to pod jaką etykietą się ona znajduje. Postawa katolicka winna więc wykluczać zarówno mechaniczną negację, jak i mechaniczną afirmację.**

Stosunek do marksizmu, pełna krytyczna analiza teorii marksistowskiej — to problem, który rzecz jasna przerasta rozmiary artykułu i możliwości piszącego. Aby jednak uczynić memu polemistcie zadość, ograniczę się do kilku zasadniczych stwierdzeń. Uważam, iż katolik nie ma żadnej potrzeby zaprzeczać wielkiej doniosłości jaką w rozwoju myśli ludzkiej odegrały teorie Marksa i jego następców. Uznaję głęboko wielki wkład myśli marksistowskiej do ogólnego dorobku ludzkiej kultury, wkład, którego doniosłość największa polega nie tylko na niejako rehabilitacji znaczenia pierwiastka materialnego i procesów społeczno-ekonomicznych, ale na połączeniu tych założeń z walką wyzwoleńczą, słowem na rewolucyjności nie tylko intelektualnej, ale społecznej.

Uznawanie wartości, poszukiwanie prawdy, tych jej pierwiastków, które postawa katolicka nie jako zgubiła, ich asymilowanie do

współczesnej nowej kultury katolickiej — to zgoła coś innego niż mechaniczna afirmacja całości twierdzeń marksizmu.

Łączy się z tym pewne bynajmniej nie drugorzędne zagadnienie. Wydaje mi się umniejszeniem katolicyzmu skłonność do sprowadzania go tylko do roli antytezy materializmu. W dziedzinie filozofii materializm i idealizm to dwie antytezy. Katolicki spirytua-

sprowadza wyłącznie do pierwiastka materialnego.

Konieczność rozumienia historii nie ulega chyba wątpliwości. Niech przemówi tu kompetentniejszy ode mnie O. Montuclard, który w drukowanym w „Dziś i Jutro” fragmencie książki „Listy do Niecierpliwych” pt.: „Wiara i historia” tak pisze: — „Tak długo jak pozostajemy wobec rzeczywistości, jak wobec abstrakcji, nie

moim poglądem na świat, jednakże zasadnicza różnica między nami polegać będzie na tym, że ja uznaję taką strukturę społeczną za optymalną w obecnym okresie historii rozwiązanie układu społecznego, które rozwiązuje jednak tylko część spraw człowieka, podczas gdy marksista, który całość problematyki człowieka w ostatecznej instancji sprowadza do układu społeczno-

Tadeusz Mazowiecki

## Konieczne wyjaśnienia

lizm natomiast nie jest idealizmem, lecz głębokim, twórczym realizmem, który uznaje zarówno pierwiastek duchowy jak i materialny. I o tym należy pamiętać.

Dziś, gdy spory światopoglądowe nabrały na całym świecie ostrych konturów, trzeba zdobywać się na szczególnie wysiłek uniwersalistycznego obejmowania prawdy. Katolicy nie mają powodu do negowania słusznego dorobku myśli marksistowskiej i jakiegokolwiek innej niekatolickiej. Ocena tego dorobku z punktu widzenia doktrynalnego i etycznego to jedynie, lecz bardzo zasadniczy warunek uznawania słusznosci tych twierdzeń.

Warto przy tym pamiętać, że warunek ten, to nie jakaś sztuczna kwarantanna, którą katolicyzm stawia dla myśli niekatolickiej, ale to warunek, który odnosi się do przyjęcia słusznosci jakiegokolwiek założeń, a więc pochodzących zarówno od wierzących jak i ateistów.

Założenie to przyjmujemy i stosujemy w praktyce. Jednocześnie jednak trzeba moim zdaniem jak najsilniej akcentować i postulować, że wielkim obowiązkiem współczesnych katolików jest zdobywanie się na postawę ofensywną, nie defensywną, na pionierstwo myślowe.

Na tle stosunku do marksizmu p. Nalepiński zarzuca mi, że posługuję się metodą materializmu historycznego i dialektycznego, choć się do tego wyraźnie nie przyznaję. Polemista mój miesza kilka różnych zagadnień. Posługiwanie się analizą historyczną, to nie to samo, co materializm historyczny, tak też dialektyka, to nie to samo, co materializm dialektyczny.

Moja analiza historyczna przemian jakim podlegało uwarstwienie społeczne nowoczesnych społeczności narodowych odgranicza się wyraźnie od wszelkich sporów filozoficzno-historiozoficznych. Chodziło mi jedynie o przeanalizowanie tych przemian i ukazanie w ich świetle perspektyw dalszego rozwoju. Można mieć pretensję do autora, że nie próbuje konstrukcji filozofii dziejów, ale trudno za braniać mu posługiwanie się materiałem historycznym, jeśli stara się tą drogą ukazać perspektywy dalszych przemian. Przyjęcie zaś, że urządzenia społeczne podlegają przemianom z form niższych ku wyższym, więcej, przyjęcie, że przemiany te pozwalają widzieć pewne prawidłowości w procesach rozwojowych, prawidłowości, w których pierwiastek ekonomiczny odgrywa bardzo zasadniczą choć nie jedyną rolę, to jeszcze nie to samo co materializm dialektyczny, który w ostatecznej instancji przyczyny i sens tych przemian

znajdziemy żadnego światła, a często napotkamy straszliwą niepewność. Ale gdy spojrzymy na rzeczywistość jako na Historię, wówczas sam kierunek ruchu wypisany w sercu rzeczywistości nas oświeci i wskaże drogę. Bóg uczynił z rzeczywistości Historię, nakreślił dla niej cel, do którego nie przestaje jej kierować. Rozpoznać tę wędrówkę, wziąć w niej dobrowolnie udział, to jest nasza współpraca w Dziale Bożym, to jest wykonywanie miłości Bożej, w której wiara daje nam udział“.

Polemista mój zarzucił mi mechaniczne sklepanie katolickiego ideału socjalnego z marksizmem. Nie widzi też znaczenia (gdy mówi się o zagadnieniach bezklasowości) traktowania przyszłej struktury społecznej jako społeczeństwa funkcjonalnego. Samo zaś słowo „funkcjonalne” uznaje za zręczny chwyt pod którym chce przemycić cudze myśli. Przeciw temu zarzutowi chcę gorąco i ostro zaprotestować. Sądzę, że wysuwanie go jest dowodem nieprzemysłienia też mego artykułu.

Zasadniczym celem dążeń katolicyzmu jest zbawienie duszy ludzkiej. Nauka katolicka podkreśla zawsze silnie, iż warunki materialne muszą być dane każdemu człowiekowi w tym stopniu, by nie spychały go w niewolę nędzy i głodu, lub też przeciwnie nie poddawały go panowaniu pieniądza i pogoni za zyskiem. Stąd też katolicki ideał socjalny — to taki układ stosunków społecznych, który dając każdemu człowiekowi możliwie optymalne warunki rozwoju duchowego i materialnego — zapewnia sprawiedliwość społeczną.

Antagonizmy klasowe wyrosłe na tle zróżnicowania ekonomicznego są oczywistym zaprzeczeniem tego ideału. Dążenie do zniesienia przyczyn tych antagonizmów, a w następstwie i ich samych jest więc w zupełności zgodne z katolickim ideałem socjalnym. Czy mamy negować wartość ustroju bezklasowego tylko dlatego, że postulują go w myśl swoich założeń marksisci?

P. Nalepiński podejrzewając, że znaczenie bezklasowej struktury socjalnej — „społeczeństwem funkcjonalnym” jest tylko dodatkiem i zręcznym chwytym, — nie przemyslał jaką treść pod to pojęcie podkładał. Gdyby mój polemista zadał sobie trud przeczytania literatury marksistowskiej i skonfrontowania jej założeń z tezami mego artykułu dostrzegłby nie tylko zbieżności, ale i różnice, i to bynajmniej nie drugorzędne. Dla marksisty społeczeństwo bezklasowe jest ideałem, w którym zrealizowana zostanie w pełni szczególność człowieka. Dla mnie jest ono także ideałem, zgodnym z

ekonomicznego uznaję ją za optymalne rozwiązanie w s z e l k i c h spraw człowieka.

Na tym tle pojęcie funkcjonalności nie jest ani dodatkiem ani wymyślonym frazesem. Jest tezą, która stwierdza, że układ bezklasowy w moim rozumieniu nie oznacza wykluczenia jakiegokolwiek zróżnicowań społecznych, ale że zróżnicowanie te dzięki usunięciu podziału klasowego kształtować się będą na zasadzie spełnianej funkcji społecznej. Istotne jest to, że właśnie usunięcie podstaw współczesnego podziału klasowego tj. prywatnego władania środkami produkcji, pozwoli na wykluczenie stałego, dziedzicznego charakteru tych zróżnicowań umiżliwiając swobodne przepływy między istniejącymi grupami społecznymi.

To właśnie radziłbym memu polemistcie głębiej przemyśleć, gdy się zabierze do ponownej konfrontacji własnych poglądów z krytykowanymi przez siebie tezami.

P. Nalepiński obawia się, że tezy moje są „cofaniem się pod naporem rzeczywistości“.

Potwierdzą słusność tego spostrzeżenia, jeśli polemista mój ma na myśli rzeczywistość społeczną współczesnego świata, to co nazwałbym w swym artykule faktycznym i potencjalnym ciśnieniem mas, w kierunku takiego rozwiązania struktury socjalnej. Natomiast stanowczo odrzucam zarzut, jeśli ułożony jest on w kategoriach politycznych. Myślę, że znajduje p. Nalepiński dostateczną odpowiedź w artykule redakcyjnym „Dziś i Jutro” (nr 8/222 pt. „Refleksje nad ważną sprawą”, z którego przypomnę mu następujące zdania: — „Jest rzeczą oczywistą, że wśród przeciwników społeczno-gospodarczych form ustrojowych socjalistycznych znajdują się i katolicy. Jest rzeczą natomiast niedopuszczalną i szkodliwą, by można było sądzić, iż w Polsce katolicyzm determinuje wrogość do dziejących się przemian społecznych. Piszemy wrogość w stosunku do przemian społecznych gdyż od dawna głosimy konieczność rozróżnienia światopoglądu marksistowskiego od socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego. Sami wyrażamy przeświadczenie, że nie wszystko co marksisci realizują w imię socjalizmu zgadza się z naszym katolickim pojęciem tego słowa“.

Sądzę, że w ostatnim z cytowanych zdań znajdzie p. Nalepiński jasną odpowiedź na postawiony zarzut.

Wreszcie owe „pustki ideologiczne”, które dostrzega p. Nalepiński w naszych rozwiązaniach ideologicznych.

Mam całkowitą świadomość tego, że rozwiązania nasze nie są doskonałe w swej pełni i bardzo jeszcze fragmentaryczne. Mam natomiast głębokie przekonanie, że kierunek tych rozwiązań jest absolutnie słuszny. P. Nalepiński chciałby widzieć w naszych założeniach już żelazną konstrukcję ideową, chciałby jasnego i śmiałego przecięcia wszystkich sprzeczności. Jestem w tym punkcie całkowicie po jego stronie. Nie wolno tylko zapominać, że wszelkie „śmiałe przecięcia” to nie błysk olśnienia geniusza, ale to droga mozolnej pracy, droga budowania całości przez konstruowanie powiązanych z sobą odcinków. Trzeba posiadać tylko jasny i niedwuznaczny trzon postawy ideowej. Jeśli p. Nalepiński przejrzy nasze założenia dostrzeże go niewątpliwie. Jest nim uznanie niezmiennych prawd katolicyzmu i dążenie do ułożenia zmiennych warunków rzeczywistości zgodnie z jego ideałami. Temu drugiemu postulatowi w naszym rozumieniu odpowiadają społeczno-gospodarcze założenia socjalizmu.

Katolicy mają dziś do spełnienia wielkie zadanie w budowie nowego świata. To nie jest „przemycanie chrześcijaństwa” do marksizmu, ale to oznacza budowę nowej współczesnej kultury katolickiej, która zdolna byłaby nadać nowym stosunkom społecznym treść Chrystusową. To także walka o to, by stosunki te układały się zgodnie z ideałami chrześcijaństwa.

Zadanie jest wielkie. Wyrażamy przekonanie, że z całą pokorą trud ten trzeba podejmować i włożyć wszystkie siły w jego realizację. Wielkość zadania i wiara w słusność wybranego kierunku drogi jest źródłem naszego optymizmu. Trzeba tylko, by wszyscy, którzy to zadanie rozumieją, wyciągnęli konsekwencje z własnej postawy. Konsekwencją postawy naszej jest realizowanie na miarę możliwości i na miarę własnego maksymalnego wysiłku tego, co nam nasze założenia ideowe nakazują. Gdy polemista mój przyjmie słusność tych założeń i zechce wyciągnąć z nich te właśnie wnioski, dopiero wówczas będziemy mogli mówić, że spór nasz nie jest sporem ideologicznym lecz tylko metodologicznym. Jeśli zechce go nadal podtrzymać byłbym mu bardzo wdzięczny, gdyby sprecyzował za jaki pragnie go uważać.

Tadeusz Mazowiecki

NA ZAMÓWIENIA  
KIEROWANE

DO  
ADMINISTRACJI  
„DZIŚ i JUTRO“

SP. WYD. „PAX“

WYSYŁA POWIEŚĆ  
BRUCE MARSHALL  
CHWAŁA CORY  
KRÓLEWSKIEJ

PROSIMY O WPLATĘ  
ZŁOTYCH 750 za EGZ.  
NA KONTOPKOI-8515

LUB PRZEKAZEM  
POCZTOWYM



## OD REDAKCJI.

Artykuł poświęcony informacyjnemu omówieniu ciekawej książki Joyce'a, nie jest dowodem ani redakcyjnego zachwytu nad tym pisarzem, ani — tym bardziej — „kaperowaniem“ go dla sprawy katolicyzmu. Jest po prostu zawsze przydatną informacją.

Spśród najwybitniejszych pisarzy XX w. James Joyce jest niewątpliwie najmniej w Polsce znanym. Przyczyna — dość jasną — jest niezwykła oryginalność jego twórczości i odstrasząca trudność przekładu. O zawikłaności tłumaczenia „Ulissea“ pisał w n-rze 193 (r. 1948) „Odrodze-

Music, Pomes Penyeach). Pierwsze dzieło trójcy „Portret artysty z czasów młodości“, kreślące dzieje edukacji Stefana Dedala (czyli samego autora) w kolegiach jezuickich jest u nas znane w tłumaczeniu. Tenże Dedal występuje także w „Ulissea“. Akcja tej sławnej książki toczy się w dniu 16 czerwca 1904 r. i obejmuje niespełna dziewiętnaście godzin (od epizodu Telemaka o godz. 8-ej rano do partii Penelopy o 2 m. 45). W każdym razie toczy się głównie w ciągu dnia i dotyczy umysłów świadomych. Natomiast „Finnegan's Wake“ rozgrywa się w nocy a „terenem“ jego jest podświadomość śpiących bohaterów. Sfera „Ulissea“

## Zdzisław Najder

## PRZEBUDZENIE

do skomponowania specjalnie w tym celu ukształtowanego stylistycznie języka, składającego się z wyrazów zapożyczonych z wielu języków obcych, poczynając od włoskiego, kończąc na lapońskim i rosyjskim, kalamburów - walizek (portmanteau-words, termin ukuty przez Lewisa Carrolla w jego „Alice through the Lookingglass“ — ma oznaczać słowa powstałe przez złączenie i nasunięcie na siebie dwu wyrazów), aluzji literackich, historycznych i filozoficznych, urywków liturgii katolickiej, slang'u, wzmianek o malarstwie, oddźwięków popularnych piosenek, anegdot etc. etc. To wszystko w celu osiągnięcia jednoczesnych a różnorodnych asocjacji u czytelników. Oczywiście, tekst taki wymaga obszernego i wielostronnego komentarza, długotrwałych badań — stanowić jednak będzie zawsze niewyczerpane źródło materiałów literackich.

Na przejęciu teorii czterech interpretacji nie kończą się dantejskie paralele w „Finnegan's Wake“ Jak „Boska komedia“ była potężną poetycką monografią współczesnego świata, oglądanego z zaświatów — podobnie „Przebudzenie Finnegan'a“ miało być syntetycznym obrazem kultury tegowiecznej (i przeszłej), ujętym od „tamtej strony“, strony podświadomości. Dalej: Jak u Dantego trójka, tak u Joyce'a czwórka i dwunastka, są zaopatrzone w rozmaite mistyczne znaczenia: słyszemy dzwony dwunastu kościołów, tawerna ma dwunastu patronów, cztery mówiące ściany sypialni reprezentują czterech legendarnych kronikarzy irlandzkich etc. Dalsze badania dostarczą zapewne nowego materiału porównawczego, choć pewne jest, że mimo niejakiej zbieżności nie ma porównania z równoległością, występującą w przypadku Odysej i „Ulissea“.

W konstrukcji „Przebudzenie Finnegan'a“ znalazło odbicie wiele teorii filozoficznych i naukowych — zarówno dawnych, jak współczesnych. Omówię tu najważniejsze.

Giambattista Vico, występujący w powieści jako „Vicis“ lub Jean Baptister Vicker wywarł ogromny wpływ swą teorią cyklicznego i ciągłego rozwoju historii. Jest ona u Joyce'a historyczną wersją dantejskiej trójcy piekła, czyśćca i nieba. Trzy okresy vicowskiego „corso“ to epoki: boska, heroiczna i ludzka; każdą z nich wyróżnia inna instytucja: religia, małżeństwo, obyczaje pogrzebowe i cnota: pobożność, honorowość i obowiązkowość. Cztery części „Finnegan's Wake“ odpowiadają czterem periodom rozwoju cywilizacji u Vica (okres czwarty to okres przejściowy od ostatniej fazy „corso“ do pierwszej „ricorso“), czterem porokami i czterem okresom życia człowieka („from tomittat to teet-tootomtotalitarian“). Najbardziej rzucającym się w oczy wyrazem wpływu Vica na budowę dzieła jest fakt, że kończy się ono zdaniem urwanym w połowie, które dopełnia zaczęte od połowy zdanie na początku — analogicznie do cyklicznej teorii włoskiego myśliciela.

Giordano Bruno pojawia się w książce jako „Nolan“ (od miejsca urodzenia w Nola). Za jego poglądem o antagonizystycznej jedności przeciwieństw postępuje Joyce ciągle. Stałym tematem, do którego niezmiennie powraca jest antynomia artysty i zbiorowości — u niego specyficznie ujęta jako przeciwieństwo miasta i artysty, co widać w „Portrecie artysty“ i „Ulissea“. „Przebudzenie Finnegan'a“ rozszerza zakres antagonizmów: w sferze teologicznej ma-

my konflikt między „Mickiem a Nickiem“, tj. archaniołem Michałem i diabłem, wszystkie bitwy w dziejach zbiegły się w konflikcie Napoleona z Wellingtonem, dalej przeciwstawienia: Kain i Abel, Kator i Pollux, Stella i Vonessa, „the Mookse“ (Fox-lis) i „the Gripes“ (Grapes-winogrona), „the Ondt“ (Ant-mrówka) i „the Gracehoper“, (Grasshopper - konik polny), wreszcie para synów głównego bohatera powieści, Shem i Shaun.

Zygmunt Freud wywarł wpływ teorią psychoanalizy i symboli płciowych, Swift swymi „Journal to Stella“ i „Cadenus and Vanessa“ — te dwie jego miłości stanowią jedną z par przeciwieństw, występujących w książce, Levy — Bruhl badaniami przedhistorycznymi i antropologicznymi i — last but not least — J. G. Frazer, autor sławnej „The Golden Bough“, znakomitego dzieła o mitologii porównawczej, które znalazło i znajduje szeroki oddźwięk w literaturze.

\*\*

Przechodząc do właściwego omówienia treści „Przebudzenia“ należy przede wszystkim wyjaśnić zagadkowy tytuł. Jak już nadmieniliśmy na początku, problemem centralnym „Finnegan's Wake“ jest kwestia upadku i odrodzenia człowieka, doprowadzona do zagadnienia grzechu pierwotnego. Tytuł utworu zaczerpnął Joyce bezpośrednio z irlandzko-amerykańskiej ballady musię-hallowej o kamieniarzu Timie Finnegan'ie, który upadając poniósł śmierć, ożył jednak cudownie. Stąd Finnegan służy w powieści za symbol zmartwychwstania i odrodzenia (znowu wg teorii Vica) — jest główną symboliczną postacią powieści, choć nie występuje „osobiście“, lecz jako „alter ego“ H. C. Earwickera, jest uosobieniem artysty jako rzemieślnika i wreszcie jedną z alegorycznych postaci przedstawiających rozmaite strony ludzkiego działania, a połączonych wspólnym wszystkim faktem upadku. Są to: Adam, Lucifer, Tristan, Humpty-Dumpty (pokrączny karzeł — „Garbaty - Zgięty“ — występujący w wierszyku dla dzieci) etc. Nazwisko „Finnegan“ zawiera poza tym aluzję do postaci mitycznego bohatera irlandzkiego,

Finna lub Fingala — a także etymologicznie wiąże się z symbolizowaną przez siebie ideą (Finnegan — Finn-again — Finn — na nowo).

Zasadniczy bohaterowie „Przebudzenia“, tzn. ci, w których podświadomości rozgrywa się — dosłownie biorąc — akcja — to rodzina Earwickers'ów. Różnorodność możliwości tłumaczenia tego nazwiska to znowu jeden z przykładów powikłanych przenośni książki i zarazem jej niewyczerpanego bogactwa. Może ono wywodzić się ze skandynawskiego Eikirk — Eryk (H. C. Earwicker jest określony jako protestancki Irlandczyk pochodzenia skandynawskiego); Być może, oznacza „zamieszkujący w Irlandii“ (od Eire — Irlandia i ang. sax. wician — zamieszkiwać), ba, zawiera także aluzję do owadu z rodziny Farfuculidae, earwig'a — jako, że spadanie jest właściwością owadów.

Głowa rodziny, Humphrey Chimpden Earwicker, ukrywający się w toku powieści pod inicjałem H.C.E., jest właścicielem gospody „Boston“ w Dublinie. W rozmaitych częściach „Finnegan's Wake“ jest równoznaczny z postaciami Adama, Lycifera, Tristana, Finna — Fingala (legendarny zbawca Irlandii), Finn'a Mac Cool'a (mityczny przywódca Irlandczyków w II i III w.), Zamku Howth (Howth Castle — zamek na górze Howth, leżący na półwyspie na wprost portu Dublińskiego. Dublińczycy wyobrażają sobie wzgórze jako głowę śpiącego giganta, którego ciałem jest półwysp — por. z polską legendą o Giewoncie), jarla van Hooter (earl of Howth), Humpty - Dumpty itd. H.C.E. reprezentuje — najogólniej biorąc — męski pierwiastek we wszechświecie, podczas gdy jego żona, Maggie Earwicker, przedstawia żeński. Występuje ona na ogół jako Anna Livia Plurabelle (od vicowskiego określenia „świętej wojny“: pia et pura bella) — która jest personifikacją rzeki Liffey, przepływającej przez Dublin.

Pierwszym synem Earwickers'ów jest Jerry Earwicker zwany Shem'em (od Senimas - James), będący nowym wcieleniem i kontynuacją Stefana Dedala — alias Joyce'a. Ciągłe pisze (stąd Shem the Pen-



James Joyce

nia“ J. Parandowski. Ostatnie dzieło Joyce'a, wydane definitywnie w roku 1939 pt.: „Finnegan's Wake“ jest u nas znane tylko ze szkicu St. Helztyńskiego w tomie „Od Szekspira do Joyce'a“, w którym omawia poszczególne, wcześniej wydane fragmenty książki — oraz ze wzmianki w wyżej wspomnianym artykule Parandowskiego. „Przebudzenie Finnegan'a“ jest przy tym całkowicie nieprzetłumaczalne, a ponieważ pozostaje w ścisłym związku z wcześniejszymi pracami autora „Dublińczyków“: „Portretem artysty“ i „Ulissesem“ i stanowią jedną z najciekawszych pozycji literatury naszego stulecia — wydaje się koniecznym zapoznanie czytelników polskich z tym utworem. Artykuł poniższy, z konieczności tylko szkicowy, oparty jest głównie na opracowaniach Harry'ego Levin, „James Joyce“, Faber et Faber, London 1945, William Rose Benét, „The Readers Encyclopedia“, G. G. Harrap, New York, 1948 i „Twentieth Century Authors“ ed. Stanley J. Kunitz and Howard Haycraft, The H. W. Wilson Company, New York, 1944.

\*\*

Zmarły 13 stycznia 1941 r. James Augustine Aloysius Joyce pozostawił sześć dzieł: trzy wielkie, składające się na jedyną w swoim rodzaju „trylogię“ o elementach autobiograficznych i trzy pomniejsze (ale nie w sensie niższej wartości artystycznej) zbiór nowel naturalistycznych pt.: „Dubliners“, dramat „The Exiles“, „Wygnańcy“ i zbiór poezji (Chamber

kończy się tam, gdzie zaczyna się sfera „Przebudzenia“ — w momencie zaśnięcia.

Sen, to najbardziej osobiste z przeżyć, jest także najbardziej powszechnym. Aby oddać atmosferę podświadomości i marzeń sennych, Joyce tworzy specjalny „język snów“, którego specyficzność formalna polega na „sennym“ zniekształceniu i przekręcaniu wyrazów, co wprawia czytelnika w osłupienie. Nie ta jednak właściwość utworu nastroja największej trudności, choć niewątpliwie stanowi jedną z cech najcharakterystyczniejszych. W umiejętnym posługiwaniu się onomatopoeją (sławny „A.L.P.“ — episode) sięga Joyce szczytów literackiego kunsztu.

W komentarzu do pierwszej kanczoły „Biesiady“ („Convivio“) pisze Dante o czworakiej możliwej interpretacji dzieła literackiego: dosłownej, alegorycznej, moralnej i anagogicznej (mystycznej). Rozpatrywane według tego schematu „Przebudzenie Finnegan'a“ mówi dosłownie o nieszczęściach lub raczej zmorach nocnych Humphrey Chimpden Earwickera, właściciela tawerny w Dublinie; alegorycznie — przedstawia topografię i atmosferę Dublina; okolic; anagogicznie — traktuje o rozwoju cywilizacji wg teorii Giambattisty Vico i Giordana Bruno; moralnie wreszcie — łączy powyższe symbole w centralnym temacie upadku i odrodzenia człowieka.

Aby umożliwić takie poczwórne rozumienie tekstu, Joyce uciekł się

Do wszystkich naszych Czytelników  
zwracamy się z apelem,

aby stali się naszymi prenumeratorem

nowe

PODSTAWĄ BYTU PISMA

1941

PRENUMERATA

Konto PKO I-727 Warszawa

Administracja „Dziś i Jutro“  
Warszawa, ul. Mokotowska 43



# FINNEGAN'A

man) i jest oskarżony przez rodzinę o brak patriotyzmu i bezbożność (elementy autobiograficzne). Jego brat — to Shaun, określanej też jako „Shaun the Post“ (właściwie Kevin Earwicker). W przeciwieństwie do Shema-artysty jawi się jako człowiek czynu, przeznaczony do zrobienia kariery życiowej księdza lub męża stanu. Kontrast obu braci nasuwa skojarzenie z bohaterami „Czarodziejskiej góry“ Tomasza Manna: Hansem Castorpem, człowiekiem o naturze introspektywnej i marzytel-skiej i Joachimem Ziemssenem — jego kuzynem-oficerem, rwącym się do wojska i pełnym woli działania.

Siostrą Shema i Shauna jest Izabel Earwicker, występująca jako Iseult (aluzja do podania o Tristanie i Izoldzie, które zostało przez Joyce'a wkomponowane w książkę). Symbolizuje ją Chapelizod — willa nad brzegiem rzeki Liffey. Iseult jest „drugą heroiną“ powieści, ona i jej matka są interpretowane także jako dwie Izoldy (wg. legendy: Izolda o Złoty Włosach i Izolda o Białych Dłoniach), a również jako Stella i Vanessa.

\*\*

\*

Przejrzyjmy teraz pobieżnie do- słowną treść „Przebudzenia Finne- gan'a“. Dzieli się ono na cztery nie- równe części. Jeśli w ogóle można po- wiedzieć, że „akcja“ snu „gdzie“ się „toczy“, to część pierwsza dzieje się w Phoenix Parku (w Dublinie) i do- kola niego. Phoenix Park (w rzeczy- wistości rozłożony po obu brzegach Liffey) symbolizuje Ogród Edeński. Należy tu — zwrócić uwagę na alego- ryczną wartość nazwy „Phoenix“ dla problemu odrodzenia. Cztery pierwsze epizody łączą się wspólnym: motywem upadku H.C.E. (właściwie jego sennych wspomnień). Pierwszy jest ogólnym wprowadzeniem, daje opis Dublina i wesół dialog dwu zawodniących klientów gospody Earwickera, Mute i Jute. W epi- zodzie drugim znajdujemy oskarżenie o tajemną zbrodnię, popełnioną w Phoenix Parku przez H.C.E. Zar- tuzt zawarty jest w balladzie, śpiewanej przez Persse O'Reilly. Nazwi- sko to, poza aluzją do dwu patriotów irlandzkich, Pearse i O'Rahilly, zabitych w r. 1916 — jest wzięte z francuskiej nazwy owego owada earwiga (perce-oreille) i stąd sam Persse O'Reilly jest wcieleniem Earwickera, właściwie jego „senne- go sumienia“. Epizod trzeci kon- tynuuje oskarżenie, czwarty przed- stawia uroczystą rozprawę sądową. Epizod piąty dotyczy zaginionego li- stu z innego świata (dokładnie: plot- karskiego listu z Ameryki), który po- jawił się na śmietniku, lecz został porwany przez kurę sąsiada. List przedstawia zapewne... literaturę. Ar- tyciekawy epizod szósty składa się z dwunastu pytań i odpowiedzi, mó- wiących o bohaterze (H. C. E.); bo- naterce (A. L. P.), ich tawernie, mie- ściu, służbie, dwunastu patronach dzieciach, teorii historii Vica i mi- łości Swifta, w końcu teorii czasu i przestrzeni, zilustrowanej bajką She- ma o „The Mookse and the Gripes“ (The Fox and the Grapes — o lisie i winogronach). W słowach „Semus sumus“ znajdujemy wyraźne potwier- dzenie tożsamości Shema i autora. W epizodzie następnym mamy alego- ryczny dialog Justiusa i Merciusa (Shema i Shauna). Ośmy jest jed- nym z najsławniejszych w książce: to sławna partia Anna Livia Plura- belle (opisana w książce prof. Hel- sztyńskiego). W epizodzie tym, przed stawiającym kłótniawą rozmowę pra- czek nad brzegami Liffey rytm rze- ki jest wspaniale oddany falowaniem zdań, poprzątkanych nazwami roz- maitych rzek świata:

O

tell me about.

Anna Livia. I want to hear all about Anna Livia. Well, you know Anna Livia? Yes, of course, we all know Anna Livia. Tell me all. Tell me now. You'll die when you hear Well, you know, when the old cheb went futt and did what you know. Yes, I know, go on. Wash quit and don't be dabbling — tak brzmi po- czątek fragmentu, którym zamyka się część pierwsza.

Akcja części drugiej „toczy się“ w Chapelizod (ob. wyżej), Epizod pierw- szy zapowiada odegranie sztuczki „The Mime of Mick, Nick and the Maggies“ (Mowa o Mick'u — archa- niele Michale — Nick'u — w daw- nym żargonie złodziejskim Old Nick oznaczał diabła, por. Szekspir, Król Henryk IV, cz. I, II, 1; tutaj poza tym, aluzja do Mikołaja z Kuzy, śre- dniowiecznego kardynała i prekuru- sora teorii kopernikowskiej, Miko- łaj z Kuzy, i dzieciach Maggie) Mi- mo przedstawienia programu do wy- stawienia sztuczki nie dochodzi, po- nieważ w epizodzie drugim burza z piorunami przerywa piknik i całe to- warzystwo szuka schronienia w „księżce dzieciństwa“. Epizod trzeci traktuje o podróży odkrywczej pa- tronów gospody, ukazanych w po- staci Wikingów (aluzja do pochodze- nia H. C. E.), czwarty zaś i ostatni, podaje romans Tristana i Izoldy, słyszany przez czterech podsluchu- jących starców.

Dozorca nocny obwieszcza godzinę i przechodzimy do części trzeciej. Na początku Shaun opowiada alegorycz- ną bajkę o „The Ondt and the Grace- hoper“ (The Ant and Grasshopper — mrówka i konik polny). Bajka ta znana i u nas, obrazuje rozbieżność między artystyczną i praktyczną stroną życia. (Gracehoper wydaje się pozatym być złożeniem grace- laska, i hope — nadzieja). W epi- zodzie drugim Shaun mówi kazanie o cnocie czystości do grona młodych dziewcząt (aluzja do kazirodczych instynktów H. C. Earwickera). Epi- zod trzeci stanowi punkt kulmina- cyjny z lamentacją nad lożem śmier- ci bohatera, czwarty zaś, toczący się w momencie pół-przebudzenia całej rodziny, dostarcza najwięcej danych do zrozumienia sensu dzieła. Za- wiera przegląd domostwa Earwicke- ra. Cała część trzecia ma miejsce na wzgórzu Howth, pojawiającym się już w epizodzie „Anna Livia Plura- belle“, gdzie jest obiektem miłos- nych afektów rzeki. W ogóle tak miasto, jak i zamek demonstrują w „Przebudzeniu Finnegan'a“ pierwia- stek męski, konstruujący i kształtu- jący — rzeka zaś żywiołową żywo- ść kobiecości. Krótka część czwar- ta, obwieszczaająca świt, zawiera li- ryczny monolog Maggie Earwicker (por. monolog Molly Bloom w „Uli- sesie“), czy też rzeki Liffey, płynącej w dół, ku morzu. Noc się kończy i kończy się vicowskie „coro“.

\*\*

„Przebudzenie Finnegan'a“, jak i poprzednie dzieła Joyce'a, wywołało burzę sprzecznych opinii. Zarzucano kompletnej hermetyczności, niezro- zumiałości, za daleko posuniętą ry- zykowność eksperymentu, gwałcenie praw języka itd. itd. Z drugiej stro- ny podnoszono wspaniałość i bogatą oryginalność, ogrom natężenia inte- lektualnego, niezmiernie bogactwo motywów, odkrywczą technikę i swoi- sty realizm. Trzejmi krytycy zwró- cili uwagę, że za wcześnie jeszcze na ostateczną ocenę dzieła, którego roz- szkofowanie wymaga długiej i żmud- nej pracy. To pewne, że książka zostanie zawsze utworem dla wybra- nych, dokładnie dla ludzi o wysokiej

kulturze literackiej i lingwistycznej, nigdy nie zdobędzie takiej nawet ilości czytelników, jak „Ulysses“. Zresztą, — czyż można przewidzieć, co będzie za lat choćby pięćdziesiąt? Jako dokument epoki, dokument wspaniały artystycznie, „Finnegan's Wake“ mało ma sobie równych. Jest dziełem, niezwykle oryginalnej me- tody literackiej. Nie da się — jak zresztą większość wybitnych utwo- rów — przyporządkować żadnemu określonoemu rodzajowi. Najścisniej- sze niewątpliwie jest zbliżenie do symbolizmu — w duchu raczej Dan- tego niż Mallarmé'a. W technice pi- sarskiej wielką rolę grają wpływy naturalistyczne, tak wyraźne w „Ulyssesie“. Dalej elementy psycho- logiczne, imagistyczne, impresjo- nistyczne — wszystko to stapia się u Joyce'a w jedną niepowtarzalną i nierozdzielalną całość.

Pragnienie syntetycznego ujęcia ludzkiego życia i dążności, ducha epo- ki i jej ideałów, ustalenia praw ogólnych, rządzących światem — pojawia się w literaturze ciągle, było natchnie- niem „Boskiej komedii“, „Fausta“ i wielu innych pomniejszych w wie- kach minionych — współcześnie zro- dziło dzieła takie, jak „Czarodziej- ska góra“ czy omawiana „trylogia“ Joyce'a. Wieki XX, wieki rewolucyj i wojen, wieki gwałtownych przemian i przewrotów społecznych, skłaniał do rekapitulacji, do rozumowego i artystycznego ujęcia wszystkich swych rozwichrzeń. Tomasz Mann zamknął w postaciach swej wielkiej powieści, Settembrini i Napheci rozbieżne intelektualne tendencje epoki (dość zresztą indywidualnie sklasyfikowane), przedstawił symbo- licznie nie tylko rozbieżności czyste- go estetyzmu i ideowo zaangażowa- nej twórczości literackiej, ale także odwieczny problem artysty i społeczeństwa, artysty i człowieka zwykłego. Też same problemy (obok wielu innych) wracają w „Przebu- dzeniu Finnegan'a“, uzupełnionym „Portretem artysty“ i „Ulyssesa“. Szczególnie ostro stawia Joyce dy- lemat artystycznej i praktycznej dro- gi życia. Od lat najmłodszych odczu- wając głęboką, własną odrębność głosił aktualną niemożliwość ich po- godzenia. W „Portrecie artysty“ wi- dzimy jaskrawą obcość postaci Stefana Dedala, w stosunku do kole- gów i otoczenia. W „Ulyssesie“ pro- blem jest postawiony szerzej: Mamy konflikt miasta — symbolu współ- czasnej i antyestetycznej cywilizacji i znowu tragicznie odmienniej osobo- wości Dedala — Telemaka. W „Prze- budzeniu Finnegan'a“ antynomia jest nieco zatarta z powodów konstruk- cyjnych, ale przeciwieństwo artysty i człowieka czynu, Shema i Shauna, Shema the Penman i Shauna the Post występuje ciągle.

Pominęliśmy tu problem główny: problem odrodzenia człowieka i grze- chu pierworodnego. Przy omawia- niu jego nie można poprzestać, rzecz prosta, na stwierdzeniu, że gra tu rolę katolickie wychowanie Joyce'a, choć krytycy stwierdzają, że nawet bluźniąc, robi to niedoszły Jezuita „po katolicku“. Problem odrodze- nia człowieka, typowo choć nie wy- łącznie chrześcijański, powraca od pierwszych wieków naszej ery i ogromna liczba filozofów i pisarzy usiłowała go oryginalnie rozwiązać — od św. Augustyna do Chestertona, przy czym oczywiście nie wszyscy oni byli katolikami. Symboliczne ukazanie zagadnienia u Joyce'a (bez podania dróg, prowadzących do nie- go), jest dotychczas ostatnim i świadczy o niesłabnącym zaintere- sowaniu podźwignięciem człowieka na należne mu duchowo miejsce.

Zdzisław Najder

## W i e r s z e

Tadeusz Chrzanowski

MISTRZ TEODORYK Z PRAGI.

*Stu trzydziestu świętych — skamieniały orszak —  
jak muzykę monumentalną —  
jak muzykę, która mocna i mroczna  
wziodłes do zamku Karlsztajnu.*

*Stutrzydziestu świętych o twarzach grubych —  
grubych ustach podbródkach i nosach —  
i do dziś biją kolorowe fugi  
ku gotycko sklepionym niebiosom.*

*Ten święty — to akord błękitu —  
a tamten — czerwień i brąz...  
Teodoryku z Pragi, który witasz,  
by oczom władzę rozwiązać!*

*A z Karlsztajnu dalekie spojrzenie  
na doliny otwarte zielenią.  
A z Karlsztajnu bliżej do obłoków  
niż do nisko osiadłych rolników.  
A w Karlsztajnie kaplica niezwykła —  
stutrzydziestu świętych Teodoryka.*

*Mistrzowi nieznanemu, któryś wzrokiem władał,  
tłum świętych głosem olbrzymim gada —  
tłum głów prostackich w milczeniu krzyczy  
i barw muzyka brzmi dostrzegalnie  
wśród grubych murów ciemnej kaplicy  
w zamku Karlsztajnie.*

B A R O K

*Kiedy pyzaty pieścisz barok,  
muzyki przysypane pudrem —  
wierz mi — jest to bezcenny urok,  
a więc go utrwal.  
Roślina mdła — te barwy i te fałdy,  
kiedy jesieni szumi bałtyk.*

*Lecz wokoło twoi bliscy radzą  
pod podejrzliwie bladym światłem,  
gdy nagle ciszę wiatr rozsada  
z rąk wymiatając gazet płachty  
i zgromadzenie dosyć liczne  
w draperie stroi się komiczne.*

*Ukrywasz skromnie drwiący grymas,  
lecz śmiech wymyka się znieścacka.  
I już patosu nie utrzymasz —  
i pryska kiepska imitacja —  
a blask uderza — w grube kurze:  
to już jest jutro — to pojutrze!*

*Odchodzą bliscy urażeni  
i z ulgą wzdycha łono kanap.  
Rozwiewa się na smutnych ścianach  
twój teatr cieni.  
Lecz poprzez tapet brzydkie kwiaty  
uśmiechy barok śle pyzaty.*

*Prawdziwy barok — lotna gracia  
i podróż bez legalnej wizy.  
Chwieje się słów karoca zacna  
skłonna do niedzisiejszych wizyt —  
zawierz jej — sercu śmiało otwórz  
skrzypiącą podróż.*

Anna Pogonowska

NA RZECE.

*Złoty leniwy prąd  
Trzcina gnie się pod niebem  
Przepelnionym jak krzemień  
Wybuchającą skraj.*

*Do rzeki i zieleni  
Zaczepieni promieniem  
Ciała — w pomrukach olch,  
W tętnach lilii, wierzb smutku  
Ciemniejemy wraz z łódką  
Tocząc wiosłami glob.*

ODJĘCI WESELU, CIAŁA.

*Odjęci weselu ciała  
Budzeni nocą i dniem  
Kiedy ucisza nas sen  
Gdy koło robocze pała.*

*Rozdarta tkliwość. Myśl zwiśla.  
Zimni w nagości  
Chwalimy Boga zmarszczkami  
Zrenicą i włosami  
Duchem we krwi i kości.*



Giovanni Ansoldo

Tłum. J. K.

# PIELGRZYMKĄ COQUELET'ÓW

Dla wielu wierzących podróż **ad limina Apostolorum** będzie stanowiła wypełnienie ślubu poczętego w głębi serca w czasie długich, nocnych czuwań, poświęconych modlitwie. Ujrzą oni w Rzymie w czasie Roku Świętego ukoronowanie swych pragnień po długich latach oczekiwania. Ci będą najszczęśliwsi ze wszystkich zwiedzających Rzym w tym okresie. Będą także najbardziej uprzywilejowanymi. Dla nich podróż do Rzymu będzie tym, co w wiekach średnich nazywało się „romeria“; odbędą oni tę pielgrzymkę z niewypowiedzianą, wewnętrzną radością i jak błogi sen będą ją wspominać do końca życia. Szczęśliwi!

Lecz także można przewidywać i spodziewać się, że przybędą liczni synowie, potomkowie i uczniowie Coquelet'a.

Któż to jest Coquelet?

Jest to fikcyjna postać, stworzona przez wielkiego bojownika prasy katolickiej XIX w., ulubionego dziennikarza Piusa IX, Louis Veillot. Wyszłucha on wszystkie głupstwa i banalności, które różni „pielgrzymi“ wygłaszały w czasie swych odwiedzin w Rzymie, zwłaszcza na temat uroczystości w bazylice świętego Piotra i ceremonii na Watykanie. Coquelet wypełnia swoją osobą i swymi wynurzeniami liberalistyczno - pseudo - naukowymi, wiele stron „Les Parfums de Rome“. Coquelet wyznaje w czasie podróży do Rzymu, że obrzędy religijne nie wzruszają go już, że zachowuje swój zachwyt dla „cudownych odkryć wieku“ jak fotografia, elektrografia. Coquelet entuzjastycznie się faktem, że może pojechać do Rzymu koleją i oznajmić wielkim głosem: „nie ma już odległości!“ Coquelet twierdzi, że niebo zapowiadane przez księży jest sprzeczne z naturą; on ma w swoich możliwościach inne niebo, w pełni zgodne z prawami naturalnymi. Coquelet pod kopułą świętego Piotra myśli o gorszym handlu odpustami, z którego papież czerpał dochody na wzniesienie tych potężnych budowli.

Coquelet przed obeliskiem watykańskim wspomina, że został on wzniesiony przez Sykstusa V, który był zakonikiem i stwierdza, że zakonicy, szczególnie kapucyni, ma



ło dbali o czystość osobistą. Coquelet w bazylice świętego Piotra, potracany przez tłum wiernych, drży z lęku, gdyż obawia się możliwości przeniesienia zarazków. Coquelet przed Świętymi Schodami robi spostrzeżenie, że czołganie się po nich na kłęczkach trąci ciemnym zabobnem. Coquelet na Kolosseum znajduje, że krzyż wznoszący się na środku areny psuje konstrukcję budowli i entuzjazm go ogarnia, gdy myśli o doskonałej organizacji, jaką wykazali edytlowie rzymscy i o tym, jakim cudem techniki musiało być przedstawienie dla dziesiątek tysięcy ludzi zgromadzonych w cieniu velarium. W końcu Coquelet idzie na Plac Świętego Piotra w chwili, gdy papież błogosławi tłumy, ponieważ „kocha“ a nawet „uwielbia“ wszelkie nowe doświadczenia, lecz oparty o kolumnę nie zgina swego liberalnego kolan. Uważa, że przykleknienie przed

„stworzeniem ludzkim“ ubliżałoby jego godności.

Oto jest Coquelet Veillot'a.

Ale ten Coquelet XIX-wieczny; jak wszyscy wiedzą, miał liczne potomstwo. Potomkowie Coquelet'a zaiste są jeszcze większymi maniakami i jeszcze głębiej są przekonani, że posiadają wszystkie tajemnice przyszłości. Mówią, że nie potrafią sobie niemal wyobrazić „jak można było żyć w czasach, gdy kolej była jeszcze najszybszym środkiem lokomocji“. Wierzą, że wkrótce komunikacja międzyplanetarna wprowadzi decydującą zmianę w dziejach ludzkości. Przyznają, że gorliwość, z jaką słuchają programów radiowych i oglądają nowości kinematograficzne utrudnia im przeczytanie jakiegokolwiek książki. Nie przejmują się tym jednak; czują, że zbliża się okres, w którym telewizja dostępna każdemu, przesłana za



pomocą aparatów Baby, będzie stanowił inne „skuteczniejsze narzędzie rozszerzenia się kultury“. Odkrycia dotyczące atomu nie interesują ich, są pewni, że umysł ludzki potrafi obrócić energię atomową na dobre cele. Lecz to, co ich zajmuje najbardziej, są to odkrycia w dziedzinie biologii i biochemii. Wzmianki znalezione w pobieżnie przerzucanych dziennikach o wielkim rozwoju eugeniki czy też o sztucznym zapładnianiu ludzi otwierają przed nimi nowe horyzonty. Obalenie rodziny wydaje im się decydującym krokiem postępu. Przed kobietami typu Coquelet'ów, niepewnymi swych wdzięków fizycznych stanęła w niedalekiej przyszłości perspektywa radości macierzyńskiej z pominięciem uciążliwej fazy miłości, z przewyższeniem wszelkiej romantyczności. Przeciwnie, mężczyźni z gatunku Coquelet'ów najpewniejsi, że każdy z nich jest doskonałym „reproduktorem“ zostaną w przyszłości skazani na prowadzenie życia trutniów (niepomnij na to, jaki smutny koniec oczekuje trutnie po spełnieniu ich zadania).

W sumie Coquelet'owie, zarówno mężczyźni jak kobiety, są jeszcze pewniejsi niż ich przodek, że „Ludzkość“, o której mówią z całkowitym zaufaniem, jak gdyby była ich bliską sąsiadką, znalazła już raj nauki i rozumu, w którym czują się oni doskonale.

Otóż wielu z tych współczesnych Coquelet'ów w czasie Roku Świętego skorzysta z okazji i przybędzie do Rzymu. Pójdą nawet zobaczyć papieża. Rozumie się, że Italia przyśle swoich Coquelet'ów, ci będą z pewnością najbardziej hałaśliwi i najgłośniejsi oznajmiają, że dla nich Rok Święty jest jedynie pretekstem, żeby odbyć podróż po znížonej cenie i zabawić się w barach rzymskich. Mają oni „sumienie świeckie“ i trzeba by było czegoś więcej, niż czterech błogosła-

wieństw księży, by poruszyć tę skałę. Zobaczymy także Coquelet'ów z innych krajów; wszędzie będzie ich pełno. Zobaczymy Coquelet'ów — Francuzów, najbardziej zbliżonych do swego sławetnego przodka. Będą Coquelet'owie — Hiszpanie, maskujący się obyczajami swego kraju i szerokim płaszczem. Ci będą się zachowywać, jakby nie pamiętali, że w Rzymie w kościele Gesu znajduje się grób świętego Ignacego Loyoli, gdyż w głębi serca uważają go za świętego kompromitującego Hiszpanię. Będą Coquelet'owie — Anglicy zmuszeni przez bieg wydarzeń do przyznania, że także the Pope „ma swoje dobre strony“, lecz dobrze pamiętający, że ulubioną rozrywką tłumy w czasach wielkości Brytani było palenie słomianej kukły ozdoby bionej tekturą tiarą. Każdy kraj przyśle swoich Coquelet'ów.

Dosyć trudno byłoby powiedzieć, jakie sądy wygłoszą ci goście o uroczystościach i obrzędach, w których będą brać udział. Umysł Coquelet'ów jest kapryśny i znajduje zawsze nową podniętę do wyzyskania swych zdolności krytycznych.

Wielu z nich powie może, że to jest ostatni Rok Święty obchodzony przez Kościół Rzymski, ponieważ w swej mądrości wysmiewają oni tę tajemniczą prawdę o Ecclesia Insenescibilis i mówią: „a jednak starzeje się pomału“. Z pewnością znajdą się i tacy, którzy będą twierdzić, że papież posługując się w swych przemówieniach transmisjami radiowymi uznaje formalnie „wyższość nauki“... Inni stwierdzą, że w gruncie rzeczy wielki match baseball na stadionie w Chicago przedstawia widok bardziej imponujący niż tłumy zgromadzone pod kolumnadą Bernini'ego. Z pewnością Coquelet'owie całego świata zgodzą się w jednym punkcie, co więcej będzie to dla nich znak rozpoznawczy: wszyscy wygłoszą zdecydowane pochwały dla „prac budowlanych“ dokonanych przez Włochów, aby ułatwić samochodom dostęp na Plac Świętego Piotra i zbliżyć bazylikę do „pulsującego serca miasta“.

Tak będą sędzić Coquelet'owie przybyli do Rzymu z okazji Roku Świętego.

Lecz z drugiej strony, czy Rzym nie będzie także miał na nich jakiegoś wpływu? Czy Rzym błogosławieństw i odpustów, Rzym zgiętych kolan i znaku krzyża świętego nie powie Coquelet'om zebrany w jego murach?

Bardzo trudno jest wypowiedzieć się na temat. Coquelet, protagonista XIX w. przekazał swym potomkom zdecydowaną skłonność do pychy. Są oni zbyt głęboko przeświadczeni, że mają zawsze rację i że zawsze kierują się zbyt zdrowym rozsądkiem aby ulec łatwemu wzruszeniu. Przystęp do ich serca i uczuciowości jest zbyt zabarykadowany

wyświechtanymi komunalami, aby mogli się czymkolwiek przejąć. Niektórzy z nich są tak „wykształceni“, że uśmiechają się w czasie litanii loretańskiej, która przecież była tak bliska w dzieciństwie; chodzą czasem do kościoła jedynie po to, by wyśmiać błędy wymowy śpiewających litanie kobiet. Nie można nie mówić o skutkach jakie dla nich będzie miał Rok Święty.

A przecież...

A przecież Coquelet'owie z całego świata zobaczą w Rzymie rzeczy, które mogą wywrzeć wrażenie nawet na najbardziej opornych. Zobaczą kobiety i mężczyzn, którzy przybędą do Rzymu ożywieni jakąś tajemną radością i z daleka pozdrowią kopułę świętego Piotra radosnym okrzykiem jako widzialny symbol góry, którą ujrzał Izajasz. „Góra wysoka, widoczna ze wszystkich stron świata, gdzie Bóg uczynił mieszkanie mądrości i wiary“. Zobaczą kobiety i mężczyzn, którzy zaledwie postawili stopę na progu Rzymu, zaledwie opuścili stację czy lotnisko, pośpieszą na Plac Świętego Piotra w pierwszych różanych blaskach poranka, w złożonych cieniach zmierzchu, aby przeczytać na obelisku watykańskim te wieszce słowa, świadectwo ich niezłomnej wiary: „Ecce Crux Domni. Fugite Partes Adversae. Vicit Leo De Tribu Judae“. Zobaczą kobiety i mężczyzn, którzy nie będą hamować łez rozczulenia, gdy w bazylice uderzą czołem o marmur, a będzie on dla nich tak miękki jak pierś przyjaciela. Zobaczą kobiety i mężczyzn, którzy na kolanach czołgając się przez Święte Schody będą sobie wyrzucać, że mogą dotykać tych kamieni i nie umrzeć z miłości do Tego, co wchodził na nie w ciemnowej koronie. Zobaczą kobiety i mężczyzn, którzy wchodząc w kamienną przepaść Kolosseum nie będą tracić czasu na wyszukiwanie w przewodnikach wiadomości dotyczących daty wzniesienia tej budowli, ani sposobu jej odbudowania. Nie będzie ich obchodziło, gdzie siedział na podium wielki cesarz, gdzie były trybuny senatorów i Westalek, ani jak

rozpinano zastonę, aby lud cesarski mógł zaspokoić swe okrucieństwo ukryty przed promieniami słonecznymi. Spojrzenia tych ludzi pobiegną w stronę Krzyża wzniesionego wśród areny i będą szukać śladu krwi męczenników z ich własnego narodu lub niewolników przygnanych z głębi lasów Galii czy pustyń libijskich, którzy umierali na tej arenie. Zobaczą kobiety i mężczyzn w grupach, w gromadach, kłęczących pod baldachimem nieba rzymskiego przed białą figurą widoczną z dala na tle wielkiej fasady bazyliki. Ukłkną



oni nie bojąc się umniejszenia własnej godności ludzkiej, ukłkną w głębokim porwywie całej istoty ku tajemnicy łaski, ku nadziei życia pozaziemskiego, ukłkną w niezmiernym pragnieniu tego, czego widzą ludzka dać im nie może nawet, jeżeli zastąpi zespolenie miłosne przez zastrzyk.

Tak, ujrzą to wszystko w nadchodzącym roku w Rzymie Coquelet'owie wszystkich krajów. Co więcej, powiedzą, że to bardzo ciekawe jako dokument psychologii zbiorowej.

Ale może któryś z nich wspomni to w przyszłości, w chwili jakiegoś nieokreślonego lęku i zapyta sam siebie, czy przypadkiem te kobiety i mężczyźni, których widział zginiętych kolana w Rzymie, nie znają lepiej od niego dróg życia, „tego świata przepojonego tajemnicą“. I w tej chwili, w której przyjdzie mu to do głowy, odczuje wpływ Roku Świętego i może przestanie być biednym Coquelet'em.

Giovanni Ansoldo

## Jubileusz i nagroda „Państwo i Prawo“

Kwiecniowy zeszyt miesięcznika „Państwo i Prawo“ jest numerem jubileuszowym.

„Państwo i Prawo“ — organ Zrzeszenia Prawników Demokratów — od początku swego istnienia zajął czołową pozycję wśród pism prawniczych w Polsce. Pięćdziesiąt numerów „Państwa i Prawa“ zawiera bogaty materiał naukowy, w tym szereg cennych rozpraw najwybitniejszych przedstawicieli polskiej nauki prawa. Prócz publikacji teoretycznych na łamach „Państwa i Prawa“ znajdują się stały dział orzecznictwa, który oddaje niewątpliwą usługę praktyce prawnej. Stała rubryka obejmująca polską bibliografię prawniczą oraz dział krytyk i recenzji publikacji prawniczych polskich i zagranicznych dopełnia zazwyczaj całości wydawnictwa.

Numer jubileuszowy przyniósł szczególnie interesujące rozprawy, które wygłoszone były na I-iej Sesji Naukowej Wydziału Prawa U. W. Są to: St. Ehrlich — „Teoria typów i form państwa“; S. Rozmaryna — „Jedota konstytucyj“ i J. Wasilkowski — „Stosunki prawne między małżonkami w prawie socjalistycznym“. Obok nich ciekawe rozprawy: K. Grzybowski — „Immunitet poseleki a Wielka Rewolucja Mieszczańska“, M. Jaroszyńskiego — „Nowe aspekty zagadnienia kontroli administracji“ i S. Szera — „Prawo cywilne w zastosowaniu do umów planowych w gospodarce socjalistycznej“.

Nie miejsce tu — w krótkiej notatce — na charakterystykę linii redakcyjnej i ocenę ideologiczną wydawnictwa. Nie wdając się narazie w taką

ocenę zarówno w stosunku do całości wydawnictwa, jak i do poszczególnych rozpraw trzeba stwierdzić, że solidna robota naukowa z jaką w większości wypadków mamy do czynienia na łamach „Państwa i Prawa“ zobowiązuje do uznania bez względu na różnice poglądów.

Ze szczerem też uznanie trzeba powitać inicjatywę R.S.W. „Prawa“, która z okazji jubileuszu pisma ufundowała coroczne nagrody naukowe „Państwa i Prawa“. Nagrody przyznawane będą za najlepsze prace doktorskie i habilitacyjne. W pierwszym wypadku ustanowiono dwie nagrody: I-szą w wys. 150 tys. zł i II-gą w wys. 100 tys. zł; za najlepszą zaś pracę habilitacyjną ustanowiono jedną nagrodę w wysokości 200 tys. zł. Do konkursu dopuszczane będą prace przyjęte na Wydziałach Prawa Uniwersytetów oraz w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. W skład sądu konkursowego wchodzić będą dwie osoby wyznaczone przez Komitet Redakcyjny „Państwa i Prawa“, dwie osoby wyznaczone przez Ministerstwo Oświaty oraz redaktor naczelny „Państwa i Prawa“. Po raz pierwszy do konkursu będą dopuszczane prace, których przewód został zakończony w roku akademickim 1949-50.

Wydaje się, że wydawcy „Państwa i Prawa“ w sposób najbardziej właściwy i trwały uczcili jubileusz miesięcznika. Można by tylko życzyć, by przy jubileuszach innych pism naukowych w Polsce pamiętano o tym bardzo godnym uznania i naśladowania przykładzie.



# Na półkach księgarskich

## Margines powieści\*)

Są to wznowienia: zbiór nowel pisanych na wiele lat przed wojną, a które dzięki swej problematyce oraz realistycznej metodzie dobrze utrafią na ogół w dzisiejsze zamówienie społeczne. Bywa tak niekiedy, że pisarz czeka na swego odbiorcę, który albo się jeszcze wcale nie narodził, albo też dopiero podраста. Powiadamy wówczas, że autor jest niezrozumiały lub też nas nuży. W klasie pisarskiej Dąbrowskiej podobny symptom nie mógł budzić obaw co do przyszłych losów jej pięknej twórczości i trwałego oddźwięku u czytelnika.

A przecież nierazkie są u niej rozdziały powieściowe lub całe opowiadania nowelistyczne, do których klucza dostarcza nam dopiero nasza współczesność. Zwłaszcza charakterystyczny w tej mierze jest stosunek do ziemiaństwa, którego sytuacja była naówczas barometrem nadchodzącej Wielkiej Przemiany. Dąbrowska po kronikarsku te przemiany społeczne notuje w „Nocach i dniach” przy okazji rodowodu Niechciców. W niniejszym zbiorze dwa opowiadania: „Drobiazg” i „Oktawia” tematycznie w pewnym stopniu należą do poklosia wspomianej sagi rodu Niechciców (nomen omen). W podobnej relacji do ogromnego cyklu powieściowego, u Garlsworthy'ego — tylko tam rewolucja cromwelowska od dawna wysunęła na plan pierwszy mieszczaństwo — pozostaje zbiór nowel „Na giełdzie Forsytów”. Choć może trudno byłoby zestawiać charaktery

tamtejszych ciulaczy i posiadaczy z naszymi, domorosłymi niechcicami czy niechcicielami, przedstawicielami historycznego plemienia Ypsychołów (vide u Prusa).

Opowiadanie „Książka Filip” — wątpliwe z naszego, katolickiego punktu widzenia, jeśli chodzi o moralność, bo wyraźnie antykonfesyjne — to jakby popularna ilustracja znanej ludowej lokucji: „Kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie”, wywróconej przy tym podszewką do góry. Zawadził o ten motyw w dawniejszej swojej twórczości J. Andrzejewski („Ład serca”), znacznie przed nim Augustynowicz w powieści „Książka Prot”. Sprawa powołań została tu nasświetlona metodą realistyczną, aczkolwiek, i może właśnie dlatego, dość jednostronnie i płytko ujęta. Mimo, iż nie ulega wątpliwości, że trafiają się i tacy niegodni śludzy ołtarza, jak Filip, to z drugiej strony — wchodzi w życie i w świadomość ogółu ludzie typu Sadoka Górskiego. I to jest również „zamówienie społeczne”.

Antyromantyczną postawę zajęła autorka w „Pannie Winczewskiej”, wyróżniającej się oszczędną prozą zwartą charakterystyką oraz techniką skrótu artystycznego.

Walkę z mitem bohatera, a minionej przeszłości przeprowadza w sposób radykalny, acz na kameralnej scenie... żołnierskiej świetlicy. Likwidowanie sfery wpływów polskiego romantyzmu od ks. Fr. Krupińskiego i Al. Świętochowskiego trwa aż po nasze czasy, które do historii literatury przejdą jako okres neopozytywizmu. Inna rzecz, że w interwalle przeżywalimy długotrwały, parokrotnie podsygany neoromantyzm, któremu rozpedu dodały nietuzinkowe jednostki: Zeromski, Przybyszewski. To były jednak raczej działania opóźniające w stosunku do linii generalnej polskiej myśli postepowej, nadążającej — mimo zahamowań niewoli — za światlejszym Zachodem, w kierunku racjonalizmu i empiryzmu, a dla zwięzienia terenu polskiej, wybujałej uczuciowości i marzycielstwa czyli życia złudzeniami. W literaturze empiryzm wiedzie ku realizmowi, który jednak może być ubogacony nie tylko w doświadczenia zewnętrzne, ale i pogłębiony odkryciami wewnętrznymi, czerpiący z życia duszy.

Poza tym wszystkim „Pannę Winczewską” z pożytkiem przeczyta każdy działacz społeczno-oświatowy, świetliczanin, czy kierownik biblioteki ludowej.

Ostatnią w zbiorze nowelę pt. „Szkieleto” czytamy ze znajomym niejednemu z niedawnej przeszłości dreszczykiem grozy. Jest to bowiem nowela „więzienna” z jakże odległej epoki, przed pierwszą wojną europejską, w atmosferze, powiedzmy, „wersalskiej”, jeśli chodzi o dobieranie się do siódmej skóry delikwenta. Od tego czasu technika inscenizowania teatru okropności i drapania po nerwach została w wysokim stopniu udoskonalona, a przez hitlerowców doprowadzona do perfekcji. Toteż „Szkieleto” jest dziś, *sit venia verbo*, anachronizmem.

Cały tomik przypomniło się z satysfakcją, jaką budzi lektura poważnego, klasycznego pióra zasłużonej powieściopisarki.

Stan. Józ.

\*) Marta Dąbrowska. Znaki życia Pięć opowiadań. Wydanie trzecie. Państwowy Instytut Wydawniczy. Str. 188.

## Debiut doskonały

Niemal równocześnie pojawiły się dwa tomy opowiadań; „Dno Miski” i „Przed świtem” — będące debiutem prozaka Stanisława Zielińskiego, zrzadka w ciągu ostatnich trzech lat ogłaszającego opowiadanie w literackich tygodnikach. I raptem ukazały się pełne dwa tomy, kilkanaście nowel i obrazków, tworzące wiaściwie czasową i tematyczną całość; należy je czytać razem, jednym ciągiem — wtedy otrzymamy pełny obraz tego interesującego zjawiska literackiego.

Od razu, z miejsca trzeba bowiem stwierdzić — mamy do czynienia z nader wartościowym wydarzeniem pisarskim. Obok Bohdana Czeskiego — Stanisław Zieliński jest drugim debiutem w ciągu ostatniego półrocza, o którym wypada napisać, iż zjawili się nowy talent. Zobaczymy jaki będzie dalszy jego rozwój, ale dorobek dotychczasowy prezentuje się doskonale.

Przelanki naszej opinii są następujące:

I. Pisarz wie co od swych opowiadań chce uzyskać. Ich celem jest zupełnie wyraźna i określona tendencja polityczna: kompromitacja całej postawy moralnej i ideowej, charakteryzującej kastę przedwojennych oficerów zawodowych. To jedno środowisko stało się — w pierwszym rzędzie — obiektem satyry politycznej Zielińskiego. Satyra bardzo wąskiej, jeżeli chodzi o jej przedmiot, lecz bardzo głębokiej i szerokiej jeżeli chodzi o potraktowanie tego przedmiotu. Punktem wyjścia dla krytycznej oceny autora były obserwacje zachowywania się zawodowych oficerów w „oflagach” w czasie wojny. Tematyce oflagowej poświęcone jest w tych zbiorach stosunkowo największe miejsce. Tam ujrawszy takiego oficera Zieliński spróbował rozszerzyć krąg czasowy swych obserwacji. Zobaczyć tego samego oficera w okresie przed „wrześniowym”, we „wrześniu”, potem po wojnie, w Niemczech i we Włoszech, w obozie D'pisów i u Andersa. Wszędzie wykrył złowieszczy bakcyl mentalności zawodowych oficerów, bystrze zauważył iż zachowanie w obozie miało swe korzenie, i swą kontynuację; miało nawet swój nurt równoległy — w praktykach ludzi tego samego chowu, ale będących już nie w niewoli, lecz w emigracyjnej armii.

Zieliński jest więc pisarzem par excellence tendencyjnym. Tendencja ta realizowana jest metodą nader

ostrej i bezwzględnej satyry. Oczywiście postacie oficerów Zielińskiego — nierzadko są karykaturą, lecz zawsze bardzo celną i odpowiadającą oryginałowi. Można zarzucić mu wąskość zainteresowań, lecz w tym upatruję — ja przynajmniej — właśnie zwycięstwo pisarza, który debiut swój rozpoczyna od relacji z najbardziej mu widacznego kręgu doświadczeń osobistych

Nie na samej tendencji jednak polega pierwsze zwycięstwo literackie Zielińskiego. Lecz na tym, że zupełnie inaczej niż u innych młodych pisarzy, autor „Dna miski” potrafi tendencję swego utworu wyrazić całkowicie w działaniu figur fabuły opowieściowej. To jest wielka pisarska sztuka — schować się bez reszty za fabułę i jej figury, lecz przy tym nie urońić z politycznej wymowy, a równocześnie stworzyć ludzi żywych, a nie manekiny. Przyznam się szczerze, że w czasie lektury opowiadań Zielińskiego raz po raz przychodziło mi na myśl dwóch pisarzy: Maupassant i Czechow; zdaje mi się, że te dwa szlachetne wzory pisarstwa stoją u literackiej kolebki naszego nowego prozaka. Odziedziczył on po nich kunszt ustawiania żywych ludzi — nie deklamujących kukiel — w prawdziwych sytuacjach, i sytuacjami tymi potrafi wygrać całą partyturę swej ostrej tendencji. Pierwszą więc zaletę pisarską Zielińskiego upatruję w umiejętności jasnego i niedwuznacznego wyrażenia tendencji ideowej utworu wyłącznie za pomocą sytuacji i figur, i to figur żywych, bez odwoływania się do pomocy jakiegokolwiek dodatkowego komentarza, od autorskiego, publicystycznego.

II.

Drugą zaletą umiejętności literackiej Zielińskiego jest gatunek jego opowiadań: satyra. Nie mamy obecnie dobrej satyry prozatorskiej. Z jednym wyjątkiem — a jest nim długie opowiadanie „We mgle wrześniowej”, będące czymś różnym od reszty zawartości obu tomów — nowelki Zielińskiego właśnie znamionują satyryka, i to satyryka obdarzonego nie tylko nader wyczulonym okiem, zdolnym zauważyć drobne nawet wady przeciwnika (satyryk jest z reguły przeciwnikiem swej ofiary), ale dużym poczuciem humoru, niemającą umiejętności konstruowania takich scen sytuacyjnych, przy lekturze których czytelnik raz po raz parska śmiechem.

## Książka Pii Górskiej\*)

W sposobie pisania autorka idzie u tartym, może nawet zbyt wyartym szlakiem historycznej powieści dla młodzieży. Zajmując się co prawda innym, niż książki wyżej wspomnianego tradycyjnego typu, przedmiotem, inaczej oświetlając i inny dając wyźwięk zostawia jednak w dużej mierze ich klimat, zawsze prawie jednakowy, choć by mówiły one o bardzo odległych epokach. To zaś ostatnie jest niewątpliwie winą właśnie owego sposobu pisania.

W recenzji z tej książki Zofia Starowieyska - Moretinowa stwierdziła, że „jej fabuła jest prosta, można ją nazwać najwłaściwie, proste, schematyczne są jej postacie”. Pomijając dalsze trafne uwagi autorki recenzji, można by próbować przenieść to twierdzenie o naiwności, schematyczności i prostocie na grunt formalny: to samo można by powiedzieć o kompozycji powieści, to samo o jej etylu i języku. Dlatego myślenie, że nie sprawia ona trudności młodemu czytelnikowi, który ją właściwie zrozumie nawet, jeśli znajdzie jakieś trudniejsze przenośnie, czy metafory. Niestety, może także tu znaleźć i żywe rekwiizyty, liczące już dziś dobre kilkadziesiąt, albo i więcej, lat, jak np.: „spłoniona, obłana rumieńcem jak zorza” — stanowiące duży kontrast z porównaniem wygiętych rogów wołu do liry. Ta właśnie nierównowaga niejednokrotnie nawet poziomu książki sprawia, że chwilami ma się wrażenie, iż pisana ona jest dla młodzieży, choć niewątpliwie pisząc myślała autorka o starszej młodzieży, gdzieś do 13, 14, może 15 lat. Oto przykład: obok partii opusowych w rodzaju: „Gdzieś tam tylko jaśniały słoneczne bryzgi wśród zielonych liści, kładły się migotliwe plamy na rudych wykratach, omszałych piach i strzępiastych wachlarzach paproci” — znaj-

dują się w książce zdania, jak: „Zabrali się rażno do dzieła, upleli szalasy, a potem pac, pac oblepili ze wszystkich stron gliną”.

Nieodłącznymi chyba akcesoriami historycznej powieści młodzieżowej były motywy tajemniczości, w tym bardzo często występowały strażnice pod względem fizycznym i duchowym „czarownicy”, spod których mocy młody bohater książki wychodził obronną ręką. I to możemy także znaleźć w „Tarczy i kapturze”. Nie widzimy natomiast w tamtych książkach przepojenia treści prawdziwie po katolicku, po franciszkańsku pojętą miłością, co jest szczególną cechą tej książki, mówiącej o bohaterstwie życia tą miłością kierowanego, a więc o rzeczy zazwyczaj wiele trudniejszej od zimnej krwi, czy ewentualnie bohaterkiej śmierci na polu chwały. W tym tkwi zasadnicza różnica między tą powieścią a tymi, których sposobem tylko jest pisana.

Ta „żarliwa i prosta” według wyżej wspomnianej autorki recenzji książka ma duże szanse spełnienia swej społecznej funkcji: postać bowiem św. Franciszka, choć ukazana właściwie w perspektywie, zaledwie kilka razy występująca w scenach powieści bezpośrednio, dominując nad wszystkimi innymi postaciami, nawet nad żywo namalowaną św. Klara, nadaje książce swe piętno. Owo piętno miłości Boga i miłości do Jego stworzeń. W tym chyba leży jej wartość największa.

Janusz Odrowąż-Pieniążek

\*) Pia Górka: „Tarcza i kaptur”. Powieść z XII wieku z ośmioma drzeworytami Edwarda Kuczyńskiego. Albertinum (Seria: Jasne książki). Książka św. Wojciecha, Poznań — Warszawa — Lublin (1948), str. 208.

A to bardzo ważne jest dla naszej literatury, chorującej w tej chwili na brak humoru w rzetelnej prozie artystycznej.

III.

Trzecią zaletą Zielińskiego książek jest ich język. „Dno miski”, czy lepiej doskonałe „Przed świtem”, wysłałbym innym debiutantom w miłym upominku. Wspólną chorobą niemal wszystkich współczesnych debiutantów jest nadmiar retoryki, nadmiar patencyjnych słów, niepotrzebne przepoetyzowanie prozy; choroba ta w swym ostrym stadium jest do skonstruowania w prozie Janusza Rychlewskiego, latami: rówieśnika, zapoźnionego w swej stylowej, dziś już nieaktualnej manierze stylistycznej. Założyć bym się gotów, że Zieliński w życiu swym nie napisał wiersza, może nawet i nie bardzo lubi wiersze czytać. Maniery poetyckie fatalnym spadkiem obciążają młodych twórców zmieniających lirę poetycką na Remingtona prozaka. Urok prozy Zielińskiego polega na jego prostocie, nie będącej prostactwem, lecz jasnością myśli i słowa. Zdania są zwięzłe i celne. Pytamy się — skąd u młodego pisarza taka dojrzałość w gospodarowaniu materiałem słownym. Jednego spójnika czy przysłówka ponadto, co konieczne dla wyrażenia myśli. To bardzo dobra szkoła pisarska. Znowu przypomina się Maupassant czy Czechow. A przy tej oszczędności słowa — a może wskutek tej oszczędności — autor osiąga kapitalną zwartość, trafność, dramatyczny dialog i to dialogu prowadzonego językiem żywych ludzi. Światnie podsłuchany jest swoisty język opisywanego środowiska, obrazowy, plastyczny, w miarę wulgarny, lecz nie „wiechiżujący”, wulgarność to nie przedmiejska ale żołnierska. Przymiotnikiem „plebejski” określiła Pręgorówna prozę Zielińskiego; wydaje się, iż miała rację. Język dla każdego w Polsce zrozumiały. Język pełen wyraznych obrazów. Język do tego dowcipny. Wydaje się, że Zieliński powinien jeździć po wsiach i fabrykach i tam czytać swe opowiadania na autorskich wieczorach, swym sposobem pisania zdobyłby dla literatury niemało nowych czytelników.

IV.

Wreszcie zaletą czwartą. Kompozycja tych obrazków i nowel. Tutaj od razu wyjątek: w „Dnie miski” prawie połowę tomu zajmuje duże opowiadanie pt. „We mgle wrześniowej” — jest to pamiętnik z „września” pełen doskonałych powieści, krótkich sytuacji, zawierający pod koniec jakby credo autora, tłumaczący ideowe korzenie postawy, potem zdemaskowanej u jeńców obozów oficerskich; w tym względzie opowiadanie ciekawe — odmienne jednak od innych Zielińskiego, gdyż pozbawione tego elementu, który w prozie tego debiutanta jest najsilniejszym: pointy. Wszystkie krótkie zresztą nowele Zielińskiego oparte są o metodę pointy końcowej, często zupełnie nieoczekiwanej dla czytelnika, z reguły bardzo logicznej i celnej. Pointy są słabą stroną naszych nowelistów. Umiejętność Zielińskiego jest w tym wypadku cennym wzbogaceniem wspólnego literackiego kapitału. Znowu przypominają mi się pisarze cudzoziemscy.

V.

Ufff, napisałem same pochwały. Czyż nie widzę żadnych wad? W tych dwóch tomach — rzeczywiście — wad nie dostrzegam. Niebezpieczeństwa dla Zielińskiego tkwią poza tymi tomami. By ich uniknąć musi rozszerzyć krąg swego ostrzału satyrycznego: cel, którym będzie tylko jedna grupa społeczeństwa, jest celem wąskim, do którego nie wolno się ograniczyć. Gdyż znudzi i czytelników i samego twórcę. Ponadto Zieliński musi bardzo uważać, by nie popaść w kompozycyjną manierę, która zaistnieje, jeżeli pisarz nie spróbuje innej techniki, niż wyłącznie opartej na pointce.

To są zastrzeżenia natury przyszłościowej. Chwilowo witamy w Zielińskim doskonałego nowelistę. To nas cieszy.

Adam Weber

\*) „Dno Miski” — „Książka i Wiedza” W-wa 1950.

\*\*) „Przed świtem” — wyd. „Czytelnik” W-wa 1950.

ZDZISŁAW NAJDER

## Baśń dla dorosłych

Gdy tylko rozpoczniemy lekturę pierwszych stron wydanej niedawno powieści Wiktora Dyka\*) — zanurzamy się w dziwną, subtelną, i przejrzystą atmosferę poezji. Cała książeczka, opracowana na nowo, a oryginalnie, znane podanie o zaczarowanym flecie szczurołapa, sprawa wrażeń misternego, ale prostego i niewymuszonego poematu prozą. Nie w tym dźwięku. Witelma Dyk (1877 — 1931) to jeden z najwybitniejszych poetów czeskich naszego wieku, głównie liryk o ironiczno-melancholijnym zacięciu, choć pisywał i powieści i dramaty, a przy tym był znanym politykiem. W „Szczurołapie” przenosi nas w specyficzny klimat średniowiecznego miasta handlowego Hameln. Opowiada dzieje wędrownego szczurołapa, podążającego ze swą zaczarowaną piszczałką od miasta do miasta. Szczurołap nie ma rodziny, „jest gorzej niż nikim”, nie przywiązuje się do nikogo, za niczym nie tęskni. Ale z chwilą przybycia do Hamelu następuje dramat: szczurołap pokochał piękną Agnes i nie może zdobyć się na jej opuszczenie.

Za miastem Hameln wznosi się wzgórze Koppel. Za wzgórzem, za przepaścią — jak głosi legenda, leży biogostawiona kraina szczęścia, Siedmiogród. Agnes kocha szczurołapa, lecz wie, że musi on odejść. Nie chce jednak pozostać ze swym dawnym kochankiem, Krystianem. Oczarowana słowami starej piosenki o ziemi bez troski rzuca się z urwiska na Koppel. Szczurołap mści się srogo na mieście, które go unieszczęśliwiło: gra pełnym głosem na swej piszczałce, prowadząc całą ludność do przepaści. Ale oto głupi rybak Hans Jörgen, który wszystko pojmuje dopiero nazajutrz. I on, wraz ze znalezionym w opuszczonym mieście dzieckiem, chce następnego dnia wejść do krainy Siedmiogrodzkiej. Jednak płacz niemowlęcia pokonywa złowrogi czar fletu szczurołapa. Jörgen pójdzie szukać karmicielki dla maleństwa. Tak odświeżającym akordem kończy się ta wzruszająca książeczka, pisana językiem melodyjnym i bezpośrednim, przeznaczona bynajmniej nie dla dzieci.

Przekład K. A. Jaworskiego, wytrawnego tłumacza, doskonały.

Zdzisław Najder

\*) Wiktor Dyk, „Szczurołap”, przeł. K. A. Jaworski, Książka i Wiedza, Warszawa, 1949, str. 115.



# T Y D Z I E Ń

## FILM

### O program dla programów

Tytuł ten jest zakończeniem ostatniego zdania w artykule piątym w zeszłym roku, poświęconym zagadnieniu programów (Nr 25 „Dziś i jutro“). Sprawę tę już poruszaliśmy kilkakrotnie. Podawaliśmy wiele przykładów hojnego szafowania nic nie znaczącym słowem i generalnego braku istotnych informacji w programach filmowych.

Przez rok prawie cierpliwie czytaliśmy dalej teksty, które mają widza wprowadzić, dać rzetelną informację, kierować przez gąszcz elementów, z których składa się film — nauczyć rozumieć i oceniać jego wartości zarówno „formalne” jak i „treściowe“.

Jakie zmiany przyniósł ten rok? Programy pozostały takie same. Zmieniła się tylko ich cena.

\*\*

Typowe przykłady były już podawane wielokrotnie. Dla przypomnienia tylko dwie próbki stylu:

„Morze jest żywiołem bardzo...\*) fotogenicznym. Życie ludzi morza zawsze dostarczało różnorodnych tematów pasjonujących wyobraźnię pisarzy i artystów. Walka na morzu! Czyż może być coś bardziej fotogenicznego i pasjonującego?“

„...charakteryzuje wszystkie zalety talentu reżysera, który ukochał morze, poznał tajemnicę fotogenicznego piękna, którego interesuje życie marynarzy i napawa słuszną dumą bohaterstwo ojczyźnej floty wojennej. Ponownie oglądamy na ekranie dalekie morskie perspektywy, nieporównane zdjęcia okrętów roztapiających się we mgłę, wschody i zachody słońca, znów podziwiamy wirtuozowski talent operatora, który ciekawej treści obrazu daje nieustannie zmienną oprawę tego czaru jakim promieniuje żywioł morski“.

Stereotypowość nic nie mówiącego potoku słów nasuwa przypuszczenie, że są to wyjątki z jednego programu o tym samym filmie. Tymczasem są to cytaty z różnych programów — mniejsza już jakich. Jednych z wielu — tych których autor (czy autorzy) dalej przezornie unika podpisania się i wzięcia odpowiedzialności za swoje elaboraty (może wtedy musiałyby wyjaśnić np. jaka jest owa „tajemnica fotogenicznego piękna“) i które dalej firmowane są przez P. P. „Film Polski“.

O takich tekstach można choć powiedzieć, że nie wnoszą dodatkowych wartości przynajmniej nie przynoszą ujemnych (pomijając chaos w głowie czytającego widza). Gorzej jest, gdy program podaje fałszywe wiadomości, interpretuje nieprawdziwie.

Pomyłki mogą się wydarzyć każdemu. Gdy jednak przestają one być sporadyczne, gdy spotyka się takie, które trudno nazwać drobnymi — wówczas zaczynają one niepokoić. Ten „pech“ pomyłek prześladowa, zwłaszcza filmy ciekawsze, takie które wydaje się, że powinny być opracowywane specjalnie troskliwie. Ostatnio można zanotować tego rodzaju pozycje wydawnicze jak np. omawiany niedawno program „Piędzi ziemi“ czy „Pustelni Parmeńskiej“, w którym znów mamy pomyłki w obsadzie aktorskiej i ponadto autor programu nie

może się zdecydować czy w filmie występuje Ernest IV (wymieniony w czołówce) czy Henryk V (w tekście)!

\*\*

W ubiegłym numerze poruszane było zagadnienie braku wydawnictw filmowych. Jedyne poważne czasopismo „Przegląd Filmowy“ do przeciętnego widza nie dociera. Popularny „Film“ z racji ograniczonej objętości daje tylko ogólne informacje. Kluby filmowe niemal nie istnieją. Na tym tle sprawa programów staje się zagadnieniem specjalnym.

Postawmy sprawę jasno: drukowane w poważnych nakładach programy są jedynym wydawnictwem filmowym, które masowo dociera do rąk widza i to bezpośrednio w momencie oglądania filmu.

Konsekwencje tego faktu są jasne. Film jest najpopularniejszą rozrywką — ale też i dla olbrzymiej większości widzów niczym więcej. Przeważająca część publiczności wciąż jeszcze pozostaje bezkrytyczna, jedyną niemal podstawą oceny filmu jest tok akcji. Kultura filmowa ziaja się dopiero w okresie racjonalizacji. Stan ten może poprawić rozpoczęta akcja rozbudowy kin — żeby jednak ukształtować właściwy stosunek widza nie wystarczy mu po prostu obraz na ekranie, trzeba również nauczyć go patrzeć, nauczyć czym jest film. Wychowanie publiczności to zarazem droga do częściowego przynajmniej, rozwiązania problemu filmu polskiego. Niedociągnięcia naszej produkcji wciąż jeszcze usprawiedliwia się jej młodością, brakiem realizatorów itp. Osiągnięcia aktywnego stosunku widza do problemów filmu, ewentualne umożliwienie próby własnych sił na wąskiej taśmie itp. dałoby rezerwy, wyłoniłoby świeży narybek realizatorów.

Rzecz prosta, postulaty takie wymagają długotrwałej i wcale niełatwej pracy. Trudności jej mogą w pełni usprawiedliwić fakt, że początkowe wyniki mogą być skromne i niepozorne. Niemniej jednak całkowicie niezrozumiałe jest, że tam gdzie istnieją możliwości — a więc konkretnie w zakresie programów — nie włożono nawet minimalnego wysiłku w ich wykorzystanie. I że toleruje się stan istniejący.

Operując konkretnymi przykładami — oto jak ostatecznie ocenia „Piędzi ziemi“ autor programu:

„Realizatorzy filmu znakomicie uwydatnili dramatyczną siłę konfliktu społecznego. Mając do dyspozycji tak doskonałych aktorów jak... (tu następują dwa niewłaściwe nazwiska) ...stworzyli film, który trzyma widzów w napięciu od pierwszej do ostatniej sceny. Bardzo ciekawym fragmentem filmu jest węgierskie chłopskie wesele z jego bogatą stroną obrzędową i ludowymi tańcami“.

Sądziłbym, że należałoby raczej ocenić czy film „trzyma w napięciu“ pozostawiając widzowi — natomiast rzecz nieznane autorowi — było konkretne wyjaśnienie dlaczego tak się dzieje, jakimi środkami zostało to osiągnięte. Konia z rzędem temu kto na podstawie programu potrafi zrozumieć jakie ten film (który stano-

wi również poważne osiągnięcie artystyczne) wnosi wartości w tym zakresie. Czyżby tutaj najistotniejszym (i może jedynym skoro o innych nie ma mowy) elementem był ów „bardzo ciekawy fragment“ wesela?

W programie „Burzy nad Azją“ spotykamy zdanie: „Na przykładzie tym („Burzy nad Azją“) konstatujemy raz jeszcze, że o wartości dzieła sztuki decyduje przede wszystkim treść ideowa i twórcza pasja artysty“. Czym się ona wyraża? O tym już autor programu nie mówi. Wspomina jedynie, że doskonale rezultaty udźwiękowania są „olbrzymim zwycięstwem reżysera“ bowiem: „...oznacza to, że już wówczas Pudowkin przestrzegał z całą skrupulatnością zasad prawdziwego realizmu, każąc aktorom tak grać przed obiektywem jakgdyby istniał już film dźwiękowy, rejestrujący nie tylko gesty ale i słowa“. Wiemy teraz przynajmniej na czym polega prawdziwy realizm — pocieszający jest wniosek, że obecnie, gdy wszystkie filmy rejestrują nie tylko gesty, ale i słowa, tym samym wszystkie są oparte na zasadach prawdziwego realizmu. Dalej nie wiemy jednak nic ani o Pudowkinie, ani dlaczego film ten został uznany za rewelację artystyczną na całym świecie i stanowi klasyczną pozycję w rozwoju sztuki filmowej. Dowiadujemy się zato, że: „...w usterkach i niedoskonałościach dawnej techniki wykrywamy nowe, szczególne wartości. Są one jakgdyby patyną dzięki której film nabiera szlachetności wyrazu i wewnętrznej powagi“.....

Spotkałem widzów, którzy nie znając dotychczas „Pustelni Parmeńskiej“ po zobaczeniu filmu postanowili przeczytać powieść i poznać Stendhala w oryginale. Film

spełnił tu nową rolę, dostarczył nie tylko bezpośredniego przeżycia, ale zainteresował Stendhalem, stał się bodźcem do pogłębienia znajomości: z nim, z literaturą. Tak zainteresowany widz' jakie znalazłby informacje w programie? Nie znalazłby ich w ogóle. A wydawać by się mogło, że postać Stendhala jest co najmniej tak ważna jak reżyseria filmu, który zapewnił sobie czterowerszową notatkę podczas, gdy o Stendhalu dowiadujemy się, że jest: „znanym pisarzem, który żył i tworzył w początkach ubiegłego stulecia“. Wydawać by się mogło również, że nawet gdyby widz się sam nie zainteresował, zaciekawienie go powinno być dążeniem autora programu. I że może warto by jednak poinformować widza jakie wartości pominięte w filmie daje powieść, a nie poprzestawać na łatwiznie pobieżnego streszczenia.

I na koniec refleksja w związku z programem „Domu na pustkowiu“ (znów podającym streszczenie akcji). Jest to jeden z niewielu filmów naszej produkcji. Sądzę, że widz z przyjemnością zgodziłby się na zmniejszenie ilości fotofosów w zamian za trochę wiadomości o historii tego filmu, w zamian za małą reportaż pt. „Jak powstaje polski film“.

\*\*

Przejdźmy do wniosków.

Minimalny przeciętny nakład programu wynosi 50.000 egzemplarzy. Krag odbiorców (do kina zwykle nie chodzi się samemu) przewyższa 100.000. Te cyfry stanowią o tym, że program staje się problemem. Pomyślmy o tym, że jego zasięg odpowiada zasięgowi wielu pism, na które patrzymy z szacunkiem — że niepozorny „programik“ to środek wychowania setek tysięcy widzów.

## 20-lecie śmierci W. Majakowskiego

W dniu 14 kwietnia br. mija 20 lat od śmierci wybitnego pisarza radzieckiego, Włodzimierza Majakowskiego.

Majakowski urodził się w 1893 roku w miasteczku Bagdadi, w Gruzji, zwanym od 13 kwietnia 1940 roku jego imieniem — Majakowskoje. Młodość spędził tamże, w Gruzji. Bardzo wczesnie znalazł się pod wpływem socjalistów. Niewątpliwie wielki wpływ na jego młodość miały wypadki 1905 r. Od roku 1908 uważa się już Majakowski za działacza partii bolszewików; jako siedemnastoletni chłopiec ma już na swoim koncie 3 aresztowania i wiele ma do czynienia jako działacz rewolucyjny. Naturalnie zakłóciło mu to systematyczną naukę szkolną, nie ukończył przeto gimnazjum; uzupełnił swą wiedzę później w moskiewskiej szkole sztuk pięknych. Publiczną działalność na polu literackim rozpoczyna Majakowski w 1912 roku. Wraz z W. Chlebnikowem, W. Kamieńskim i A. Kruczonichem tworzy ośrodek futurizmu rosyjskiego. Niebawem zostaje wodzem futurystów rosyjskich, choć następnie z biegiem czasu oddala się w swych utworach od tego ruchu literackiego. Majakowski był aktywnym rewolucjonistą w okresie powstania państwa radzieckiego, wszy-

stkie swe siły położył ku utwierdzeniu się nowego ustroju. W latach 1919—21 pracuje w zakładzie tzw. ROSTA przy produkcji plakatów agitacyjnych. W latach 1923—25 jest redaktorem czasopisma „Lef“ (Lef — to lewy front w sztuce), w latach 1926—29 intensywnie współpracuje z gazetami codziennymi „Izwestija“ i „Komsomolskaja Prawda“, choć i

Oplacalność programu nie ulega wątpliwości. „Film“ przy przeciętnej ośmiokrotnie większej objętości kosztuje 30 zł. Program 10 zł.

Te dane wskazują na to, że programy muszą być traktowane poważnie. Muszą być traktowane jako swoiste wydawnictwo istniejące nie siłą inercji i zwyczaju, lecz posiadające własne zadanie do spełnienia. Dlatego też powinny przybrać formę specyficznych pism, „jednodziówek“. Objętość ich powinna być nie mniejsza niż osiem stron, przy czym ilość fotofosów powinna ulec zmniejszeniu. Na ich miejsce weszłyby krótkie artykułki poświęcone omówieniu filmu wyświetlanego, czy wprowadzeniu widza w ogólną problematykę filmową, notatki związane tematycznie (np. informacje o Pawłowie przy omawianiu filmu o nim — nie ma ich w obecnym programie) itp. Zależnie od charakteru filmu wyświetlanego jego omówienie mogłoby być ogólną recenzją lub, w filmach trudnych omówieniem problematyki, w innych zawierać garść dotyczących go informacji, czy wreszcie omawiać poszczególne jego elementy (np. klasyczny montaż „Burzy nad Azją“). Za całość wydawnictwa odpowiedzialność ponosi fachowiec — notatki są podpisywane.

Jednocześnie należałoby szerzej wykorzystać możliwości przeprowadzenia ankiet, zbadania reakcji widza, stwierdzenia czym jest film dla niego.

Specjalnym zagadnieniem byłoby opracowanie programów dla kin wiejskich, których specyficzne warunki pracy stawiają całkowicie odrębne wymagania (popularność tekstu, wyjaśnienia dotyczące tła akcji, objaśnienia historyczne, przy filmach niedubbingowanych wprowadzenie w akcję itp.).

LESZCZ.

## Zniesienie Państwowego Instytutu Książki

Ostatni Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej podaje rozporządzenie Rady Ministrów znoszące Państwo wy Instytut w Łodzi na którego czele stał dr Adam Łysakowski.

Zadania tego instytutu zostały przekazane kilku instytucjom i Ministerstwu.

I tak Instytutowi Badań Literackich w Warszawie przekazano prowadzenie badań naukowych dotyczących książki, bibliotekarstwa i czytelnictwa oraz gromadzenie, opracowywanie, udostępnianie i ogłaszanie materiałów naukowych.

Biblioteka Narodowa w Warszawie obejmie zakres zbierania i udzielania źródłowych informacji bibliograficznych we wszystkich dziedzinach piśmiennictwa oraz w zakresie zbiorów bibliotecznych.

Naczelnej Dyrekcji Bibliotek przy Ministerstwie Oświaty przekazano kształcenie sił fachowych, dla bibliotekarstwa, czytelnictwa oraz uzgadnianie, planowanie i kierowanie prac Instytutu Badań Literackich i Biblioteki Narodowej i innych zakładów naukowych i społecznych.

\*) trzy kropki w oryginale.



# KULTURALNY

## TEATR

### Premiery krakowskie

„Pies ogrodnika“, wesela komedia, w której satyra wynika sama przez się, miała świetną oprawę sceniczną i doskoła reżyserią. Lope de Vega zbyt wiele tworzył i zbyt szybko, żeby móc wnikać w problemy społeczne i pogłębiać charaktery. Odtwarzał po swojemu to co widział dokoła. Pod tym względem podobny jest do Fredry. *Ridendo castigat mores*. I jeden i drugi dzięki niesłychanie bystremu zmysłowi obserwacji w lot chwycił śmiechowności swego otoczenia i przedstawiał je z pogodnym humorem wolnym od żółci, a ponieważ było to odtworzenie tego właśnie środowiska, w którym żyli, powstawała stąd samorzutnie ostra, częstokroć nawet gorzka satyra. I ów Teodor, z którego krytyka usiłuje zrobić jakąś pełną dramatycznej perswazji figurę, to po prostu łobuz, spryciarz, jedna z niezliczonych odmian zawsze tej samej postaci znanej z wszystkich komedii klasycznych, dająca aktorowi pełne pole do wygranania wszystkich dołen swjej sztuki.

Grana też była ta rzecz wybornie i jak zawsze u nas teraz, nie tylko rola główna, ale i wszystkie poboczne wypracowane z największą starannością i zapalem. Hrabina (czy też może hrabianka, bo niewiadomo czy to wdowa, czy raczej podziła panna tak zapalczą wie szuka męża) odtworzona ze świetnym temperamentem wykazywała może tylko pewien brak akcentów lirycznych, które jednakże tkwią w tej roli.

Dekoracje i kostiumy w stylu szekspirowskim doskonale uwydatniały pokrewieństwo twórcze wyniki na tle epoki.

„Pigmalion“ Shaw'a jest właściwie nieporozumieniem na każdej innej scenie prócz angielskiej. W tym, że ktoś potrafił z prostej dziewczyny zrobić damę, nie ma nic nadzwyczajnego, bo trafiało się to i trafia nieraz zarówno w życiu jak i w literaturze. „Gwóźdź“ tkwi w czym innym. Wiadomo, że w Londynie akcent wymowy ulicznej różni się tak dalece od sposobu wymawiania ludzi wykształconych, że kto się go nie oduczył w dzieciństwie, ten go już zachowa przez całe życie i zawsze nim zdradzi swoje pochodzenie. Potrzeba

było dopiero uczonego profesora, żeby za pomocą swoich metod filologicznych w krótkim czasie wypenił ten akcent. W tym właśnie główny dowcip sztuki Shaw'a. Posiada ona jednak prócz tego tyle innych wartości, że zawsze może osiągnąć powodzenie.

Szkoda tylko, że podobnie jak przy wystawieniu „Bohaterów“ tak i tutaj, rzecz została ujęta farsowo. Shaw nie zasługuje na takie traktowanie. Są na to za głębokie walory w jego twórczości. W tym wypadku zachodzi jeszcze i ta trudność, iż to rzecz dawna, jeszcze z przed pierwszej wojny światowej, a więc z czasów, kiedy w salonach angielskich panowały nadzwyczaj ścisłe formy towarzyskiego obyczajania i co chwila coś było *shoking*. Dziś już i tam wiele bardzo się zmieniło, a co dopiero u nas! Wobec tego efekty komiczne, w zasadzie pełne finezji, stały się po prostu blaźnięciem. Tyczy się to zwłaszcza profesora Higginsa. Przecież to chociaż oryginał, ale uczonego, człowiek poważny mimo młodego wieku, a przytem dystrakt jak zwykle wciely uczeni. Wszystkie zatem jego niezręczności i uchybienia towarzyskie doprowadzające do takiej desperacji wykwintną lady, jego matkę, są wynikiem roztargnienia a nie braku wychowania. W tej reżyserii zaś wyszedł on na jakiegoś głupka, którego niepozytalne wybryki pobudzają do śmiechu całą widownię, niby wystopy elowna cyrkowego. W tym stylu ujęty Shaw staje się karykaturą samego siebie.

„W pewnym mieście“, to przykładowy utwór realizmu socjalistycznego, który tym się różni od dawnego realizmu mieszczańskiego, że tamten ograniczał się do krytyki istniejącego ustroju, ten zaś ma ambicje twórcze. Utwór w tym duchu wyreżyserowany i zagranie wypadł w swoim rodzaju doskonale. Wyborna gra całego zespołu czyniła wrażenie ludzi żywych, dzięki czemu zapomniało się o cokolwiek przesłodzonej szlachetności wszystkich postaci.

„Brygada szlifierza Karhana“ mimo pewnej nieporadności technicznej autora, do której on sam się przyznaje — a raczej może właśnie dzięki temu! —

stała się pokazowym utworem tej sztuki przyszłości, której żąda od nas rzeczywistość współczesna. Sztuki oczyszczonej już z wszelkich przeżytków epoki mieszczańskiej, wolnej od psychologizmu, gdzie więc nie tylko tło i środowisko jest czysto robotnicze, ale i sam ten robotnik przedstawiony jest nie ze względu na jego przeżycia psychiczne, lecz jako ogniwo pracy zbiorowej. Praca i tylko praca króluje na scenie. Trzeba było wysiłku reżyserii i pracy aktorskiej aby uczynić rzecz pulsującą krwią, żywą. Udało się to jednak w pełni. Nie tylko sceny zbiorowe wyreżyserowane w sposób nieprześcigniony, ale i poszczególne kreacje aktorskie. Trudna bardzo do odtworzenia postać tytułowa wypadła wprost znakomicie. Tylko... to już — zapewne mimowolna — wina autora, utulił się tam pewien psychologizm. Moment w ostatnim akcie, kiedy Karhan z taką lubością zwraca się wśród pracy do swojej ukochanej maszyny jest momentem psychologicznym i, dodajmy, jednym z najlepszych...

„Dorożka po Warszawie“, przeróbka ze sztuki radzieckiej jest jednym z tych utworów pośrednich między wodewilem, farsą i operetką, które mogą się rozgrywać w każdym mieście i w każdej szerokości geograficznej, byle zmienić nazwiska osób i nazwy miejscowości i dodać parę konceptów lokalnych. Udział konceptów warszawskich w tej krótkowile jest nad wyraz skromny. Grana jest przewybornie. Świetne występy choreograficzne Tria Niewęglowskich dodają jej blasku. Już od paru miesięcy stale wypełnia widowie.

Przeróbka sceniczna „Powracającej fali“ Prusa w sympatycznym bardzo Teatrze Kolejarza zeszła za prędko z afisza. Próba udratyzowania tego arcydzieła nowelistyki posiadającego tak potężne akcenty tragiczne jest czymś bardzo interesującym, a Teatr Kolejarza wart jest, żeby o nim coś napisać. Niestety, nie zdążyłam tej sztuki zobaczyć. Może ją jeszcze powtórzą?

Alina Swiderska

### Wokół wystawy

I Ogólnopolska Wystawa Plastyki — otworzona w marcu w Muzeum Narodowym, okazała się imprezą kulturalną o zakroju zupełnie wyjątkowym. Niemal wszyscy plastycy polscy nadesłali prace, z których wystawiono ilość wręcz gigantyczną, gdyż 388 obrazów, 118 rzeźb i prac z zakresu metaloplastyki, 120 prac z grafiki i rysunku. Zasadniczą różnicą tej wystawy od wszelkich poprzednich salonów polskich jest jej „tematyczność“. Jej organizatorzy zażądali od artystów prac związanych z życiem człowieka polskiego, z dziejami kraju, prac wyraźnie tematycznych, a nie abstrakcyjnych czy formalistycznych. Przez to wystawa ma charakter zupełnie jednolity. Z jedynym wyjątkiem martwej natury — na każdym obrazie przedstawiony jest człowiek, najczęściej w swej pracy fabrycznej lub budowlanej. Ta nowość tematyczna i rodzajowa wystawy stała się powodem jej fantastycznego rozgłosu: wystawa cieszy się szalonym powodzeniem. W jedną tylko niedzielę przewinęła się niespotykana ilość ludzi: 30.000 zwiedzających. Kilkakrotnie wracając na wystawę zawieszono zauważyć można prócz zespołów widzów zorganizowanych (szkoły, wojsko, pracownicy fabryk i instytucji) stale duże ilości zwiedzających indywidualnie. Wystawa ta stała się niewątpliwie sensacją naszej plastyki.

Spowodowała ona wiele wypowiedzi dyskusyjnych, stała się nawet przedmiotem dość gorących sporów. Między innymi odbyła się interesująca dyskusja w Klubie Literatów PZPR, podczas której między artystami z jednej strony, a pisarzami z drugiej wywiązała się żywa wymiana zdań. Padło wiele zarzutów pod adresem malarstwa wystawionego, przy równoczesnej pozytywnej ocenie samej wystawy, której znaczenie dla rozwoju naszej plastyki — szczególnie przełomowe dla naszego malarstwa — uznają wszyscy i niemal wszyscy w dyskusji podkreślili ten moment. Malarstwo pokazane spotkało się z zarzutami dwójakiego rodzaju.

Pierwszy dotyczył sposobu malowania i rysowania człowieka. Jeżeli człowiek w swym życiu jest założeniem wystawy — człowiek ten musi być dobrze narysowany, to znaczy nie może to być kukła, ledwo zaznaczona sylwetka na dalszym planie, jakiś schemat formalny; twarz i figura bohatera obrazu musi ujawniać pełnię wewnętrznych przeżyć radosnych lub dramatycznych, jego oblicze musi być obliczem wzruszeń, a nie bezduszną maską, konwencjonalną i martwą. Tego wszystkiego obrazom brak; człowiek został pokazany w całym bogactwie swego tła życiowego lecz pokazany równocześnie przy całym ubóstwie sprawności rysunkowej naszych malarzy, którzy nadal posługują się manierą obciążoną formalistycznymi tradycjami: twarz ludzka to niesamowity grymas, wręcz panoptikálny; w pełni stosowana jest konwencja polegająca na rysowaniu robotników z ogromnymi łapami i pomurymi twarzami, które mają niby oznaczać powagę i przejęcie się pracą. To samo występuje w obrazach batalistycznych. Najchętniej jednak malarz unika twarzy i pokazuje figurę w takiej od wi-

dza odległości, że twarz nie gra już najmniejszej roli. To był zarzut pierwszy.

Drugi zarzut miał inny charakter. Przy założeniu, iż wystawa winna obrazować życie Polski w okresie 1945—1950, paczy ona zupełnie istotną treść jego życia. Treścią tą była rewolucja, a rewolucja to potężny ładunek dramatyizmu, to starcie się sił, to ludzie zwycięscy i ludzie pokonywani, to ostra walka klas, to walka na wsi, to walka rozmaitych koncepcji realizacyjnych (np. w odbudowie miast), to trud psychiczny przodownika pracy parającego się z wrogiem stosunkiem do jego pracy okazywanym mu przez wielu kolegów. Niczego z tych spraw nie pokazano. Z wystawy wynosimy wrażenie sielanki pracy; nawet cegły są sielankowo lekkie. Żaden malarz nie wybrał tematów dramatycznych, wszyscy wybrali moment sielanki, radości — też nie ukazanej na twarzach ludzkich.

Zarzut drugi tłumaczy się w pełni zarzutem pierwszym. Tylko w twarzach ludzkich można było na obrazie pokazać walkę idei. A tymczasem malarze twarzą malować nie potrafili. Stąd ucieczka od słynnych namietności, od dramatyizmu.

Malarze polscy obciążeni balastem formalizmu, gdy przeszli do tematycznego malarstwa, po prostu jeszcze nie nauczyli się rysować dobrze twarzy i figur ludzkich, gdyż poprzedni generacje sztuki tego od nich nie żądał. Dlatego też najlepszymi działaniami na wystawie są rzeźba i grafika, gdyż rzeźba polska nigdy zbyt daleko nie odeszła od studium figury ludzkiej, a grafika z reguły pozostając użytkową, przede wszystkim jako ilustracja książkowa, też stale podejmowała zadanie obrazu człowieka. Temat więc dla nich nie był nowy.

Zanotowaliśmy te głosy w dyskusji. Pismo nasze Wystawie poświęci specjalny, zasadniczy artykuł, w którym określimy nasze stanowisko.

Jury pod przewodnictwem min. Sokorskiego już rozdzieliło nagrody. I nagrody: Wojciech Weiss „Manifest“ (obraz), Alfred Wiśniewski „Granica Pokoju“ (rzeźba), Wacław Waśkowski drzeworyty — ilustracje do Puszkina (grafika). II nagroda w malarstwie: J. Krajewski („Przodownica“), Łopuszański („Walczące getto“), Weresczyńska („Na wiejskiej drodze“); w rzeźbie Karny („gen. Świerczewski“), Stachórska („Do szkoły po wiedzę“), Wnuk („Fragment pomnika Przyjaźni Polsko-Radzieckiej“). Ponadto przyznano dziewięć trzecich nagród i kilkadziesiąt wyróżnień.

## Wiadomości z Francji

### PROUST I KSIĄZKA O NIM

Andre Maurois „francuski Ludwik“ po „wies romances“ Woltera, Shelleya, Byrona, Chateaubrianda, Disraeliego, Turgeniewa, Edwarda VII i Lauteya, ogłosił książkę biograficzno-analityczną o autorze „A la recherche du temps perdu“. Dał jej tytuł „A la recherche de Marcel Proust“. Książka ma wszystkie znamiona piśmiennictwa Maurois: łączność jasności stylu i łatwość przedstawiania z drażniącą nieraz płytkością. Zwłaszcza Maurois — analityk pozostaje daleko poza Maurois — biografem. Największą wartość książki stanowi jednak nie tekst jej autora, ale po raz pierwszy ogłoszone teksty Prousta. Jest ich bodaj kilkadziesiąt. Znajdują się wśród nich listy do matki, pisane w okresie, gdy Proust mieszkał z rodzicami w jednym mieszkaniu na Boulevard de Courcelles, ale cierpiąc na bezsenność z powodu astmy siennej („argume des foins“) i śpiąc za dnia, „rozznawiał“ z najbliższą sobie osobą listownie. Niemal wszystkie te dokumenty uzyskał Maurois od bratanicy pisarza, pani Gerard Mante-Proust, ale fakt „towarzyskich zobowiązań“ zaciążył nad jego swobodą piśmienniczą i dodatkowo spłycił książkę. Wizerunek Prousta jest miejscami przesłodzony, miejscami zbyt sumaryczny. Najważniejszy wniosek jak wynika z tej nieudanej, ale arcyinteresującej biografii, brzmi: mimo,

że ogłoszona korespondencja Prousta obejmuje dzisiaj do piętnastu tomów, a literatura o nim ponad sto pozycji — wśród których są takie jak podstawowa monografia Leona Pierre — Quina (drugie wydanie 1935) i świetna książka Ramona Fernandez (1943) — Proust jest pisarzem ciągle nieznanym. O zglębieniu jego metody twórczej będzie mowa dopiero wtedy, gdy cały, dotąd niewydany materiał, przede wszystkim jego „carnets“ i „cahiers“ będzie dostępny badaczom bez ograniczeń, obciążań i skrępowań osobistych.

### „PRZYJACIELE BERNANOSA“

Na wzór niezliczonych towarzyszy tego rodzaju powstało we Francji „Societe des Amis de Georges Bernanos“. Pierwszą jego manifestacją było uroczyste nabożeństwo w pierwszą rocznicę śmierci wielkiego pisarza, odprawione w pięknym kościele dzielnicy łacińskiej St. Severin. Pod redakcją Albert Beguin, ukazała się obszerna książka zbiorowa poświęcona pamięci Bernanosa.

### ROK CLAUDELA

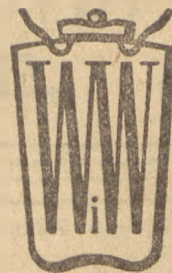
Paryski sezon teatralny 1948/49 można nazwać rokiem tego wielkiego poety katolickiego. Dla uczczenia 80-iej rocznicy urodzin Claudela aż trzy teatry wystawiły jego utwory: Marigny — „Partage de midi“, Atelier — „Le pain

dur“ i Komedia Francuska — „Le soulier de satin“. Przedstawienie w Komedii rozpoczęło się o 7-iej (nie jak inne o 9-iej) i kończyło prawie o północy, bilety były o 1/3 droższe niż na wszystkie inne widowiska. Rzecz dziwna, największym powodzeniem cieszyło się najtrudniejsze i najmniej sceniczne „Partage de midi“, dające metafizyczną interpretację miłości. Na ten sukces złożyła się atmosfera zainteresowania, jaka otacza tę sztukę, bardzo osobistą i dopiero niedawno udostępnioną szerszej publiczności, oraz znakomita gra pary aktorów głównych ról: Edwige Feuillere i J. L. Barraulta.

### ŚMIERĆ KRZYWOSZEWSKIEGO

1 kwietnia br. zmarł w wieku 84 lat znany literat i komediopisarz Stefan Krzywoszewski. W latach dwudziestych popularny dostawca fars i komedii salonowych dla teatrów stołecznych, których przez czas jakiś był dyrektorem. Postać bardzo popularna w warszawskich kołach politycznych i artystycznych tamtego okresu. Po wojnie wydał dwutomowy pamiętnik pt. „Długie życie“, istna kopalnia plotek i wiadomości towarzyskich za ubiegłe półwiecze.

WNĘTRZE i WYSTAWA  
PL. GRZYBOWSKI 2 WARSZAWA



PROJEKTUJE I WYKONYWA  
WNĘTRZA I WYSTAWY



# List prof. J. Krzyżanowskiego w sprawie artykułu W. Dody

## Czytelniku w a ż a, ż e...

W. Szanowny Panie Redaktorze,— Przeczytawszy w nr 13 Pańskiego tygodnika „O nowym wydaniu Sienkiewicza“ dowiedziałem się z uczonych uwag d-ra W. Dody rozmaitych pięknych rzeczy i o sobie i o wydaniu, które redaguję. I zamysliłem się nad trudnością odpowiedzi na nie. Trudność to, którą tak dobrze znał Słowacki, gdy mówił: „Boże, ileżbym napisał romansów, Gdybym chciał wszystkich d... być zabawą“. O ile bowiem łatwo jest stawiać zarzuty, gdy się nie poczuwa do obowiązku ich uzasadnienia, o tyle odparcie ich wymaga zazwyczaj długich wywodów, romansów właśnie. Pozwolić sobie na nie tutaj nie mogę, dlatego, wyjaśnię później, poprzez stanę natomiast na wyjaśnieniu tego, co w recenzji wydaje mi się najuchwytniejsze.

I tak zarzucano mi tam, że wykażalem „naiwność nie do darowania“, tj. „parokrotne użycie“ w „Dzieliach“ Sienkiewicza tekstów z wydania, które otrzymywali przed laty pięćdziesiąt pryncypałowie lub chociażby skontrolowane ratorzy „Tygodnika ilustrowanego“. 2) że dałem teksty „rzadko (i zaledwie w paru wypadkach) sprawdzone“ z pierwodrukami. 3) że „zamiast krytycznie ustalonego lub chociażby skontrolowanego tekstu utworów nowa edycja puścił Sienkiewicza przynosi raczej przedruk (nie rzadko mniej staranny) jakiegoś poprzedniego wydania“, 4) że „to może dosyć, aby uczynić zadość ograniczonym wymaganiom własnym wydawców, zbyt mało jednak, by sprostać potrzebom wiedzy o Sienkiewiczu i wymogom techniki edytorskiej“, a wreszcie 5), że osiągnięte wyniki są „rzecz oczywista bynajmniej nie nadzwyczajne“.

Uczony recenzent, poszukujący nadzwyczajności, wie coś o zwyczaju uzasadniania zarzutów i na ich poparcie przytacza dwa drobne błędy druku („nim i“ zamiast „nimi“ oraz „jej“ zam. „ją“). Wyłowił je z 10 tomów „Dzieli“ o łącznej ilości przeszło 2500 stronice, co, gdyby ich nie było więcej, stanowiłoby mniej niż 2 pro mille. Uczony recenzent, poczytujący się widocznie za autorytet w sprawach edytorskich w ogóle, sienkiewiczowskich zaś w szczególności, mniemanie o sobie opiera zapewne na rozprawce „Jakiego Sienkiewicza znamy“, którą ogłosił przed laty dwudziestu. Na dwu dziesiąt stronice zestawiał tam pierwsze wydania „Ogniem i mieczem“, a więc dzieła o tysiącu stronice, i wyliczył kilkadziesiąt błędów najrozmaitszych, niejednokrotnie wręcz monstrualnie zniekształcających tekst powieści. Mimo trzechletniego, systematycznego obcowania z tekstami Sienkiewicza nie śmiem się uważać za lepszego ich znawcę od dra Dody, śmiem natomiast sądzić, że gdybym to ja pisał recenzję „Dzieli“, nawet abstrahując od jakości błę-

dów, biorąc zaś pod uwagę proporcję 2/000 w wydaniu nowym do kilkudziesięciu pro mille w wydaniach dawniejszych, nie zaryzykowałbym poglądu, że wyniki wydania nowego są „nie nadzwyczajne“.

Rzecz całą zilustrować można jeszcze inaczej. Na początku r. 1949 pojawiły się, w wydaniu Państwowego Instytutu Wydawniczego, dwie — powieści, „Krzyżacy“ oraz „W pustyni i w puszczy“, przygotowane przez takiego znawcę sztuki edytorskiej, jak St. Pigoń. Z końcem roku wyszły ich wznowienia, przynoszące tekst w mojej redakcji. Tekst ten przynosi dużo nowości, nie dlatego, bym był wydawcą od prof. Pigońa lepszym, tylko po prostu dlatego, że operuję materiałem, który memu koledze krakowskiemu był niedostępny, a o którego zdobyciu istotnie romanse pisać by można, i dlatego, że opiera się na doświadczeniach paruletniego grzebania w tajnikach tekstów sienkiewiczowskich, czego nie zastąpi najrzetelniejsza nawet znajomość zasad techniki wydawniczej.

Wracając jednak do wymienionych poprzednio zarzutów, pozwałam sobie stwierdzić, co następuje:

1) w sześciu tomach nowel Sienkiewicza, przynoszących ich kilkadziesiąt i udostępniających po raz pierwszy całą nowelisticzną autorstwa „Hani“, dwie nowele („Wspomnienie z Maripozy“ i „Żurawie“) oparłem na edycji „Tygodnika ilustrowanego“. Stało się to dlatego, że w r. 1947 tekstów innych, poprawniejszych, w Warszawie nie można było odszukać, względy zaś ode mnie niezależne nie pozwalały na kilkumiesięczną zbiórkę w druku.

2) nieprawdą jest, że teksty są rzadko sprawdzone z pierwodrukami, prawdą natomiast jest, że opierając się na wszelkich dostępnych źródłach, porównawszy od rękopisu, jeśli ten się zachował, co w wypadku nowel jest wyjątkiem, i jeśli, rzecz prosta, udało się do niego dotrzeć, co rzadko bywa sprawą prostą.

3) dopóki recenzent nie wskaże, które to teksty są „nie rzadko mniej starannym“ i nieskontrolowanym przedrukiem, zarzut ten muszę traktować jako zwykłą insynuację.

4) jak wyglądają moje „ograniczone wymagania własne“ w zakresie pracy edytorskiej, o tym powiedzieć by mogły sporządzane przeze mnie wydania dawnych pisarzy w „Bibliotece narodowej“ lub akademickiej „Bibliotece pisarzy polskich“, a więc w wydawnictwach o charakterze krytyczno-naukowym.

Odwołać mógłbym się również do kilkunastostronicowych recenzji wydań naszych tekstów średniowiecznych i późniejszych. Recenzje te drukowałem w „Pamiętniku literackim“, gdzie można je sprawdzać. Wydanie natomiast „Dzieli“ ma charakter popularno - naukowy, przynosi teksty poprawne w brzmieniu autentycznym, o ile oczywiście autentyczność ta jest w dzisiejszych warunkach pracy osiągalna. Oczywiście też nie podobna tu uniknąć takich czy innych błędów, nieraz daleko dotkliwszych, niż dwa wskazane przez recenzenta. Każdy jednak, kto orientuje się w tych sprawach, wie, ile to potknięć wykazuje każde nasze wydanie nawet krytyczne i jak powoli i stopniowo dochodzi się do całkowitej poprawności Mickiewicza lub Słowackiego, a co dopiero mówić o Sienkiewiczu, którego teksty dopiero teraz znalazły się na warsztacie naukowym.

Dodam zresztą, że w ciągu trzech lat nagromadziło mi się mnóstwo materiału, który w postaci „aparatu“ dodaje się do wydań naukowych. Drobnego fragment ogłoszonym przed dwoma laty („Autograf Potopu“), dalszy, znacznie większy ukaże się w najbliższych miesiącach w „Pamiętniku literackim“. Rzeczy te dowodzą, że redagowanie „Dzieli“ to nie sobiepańska gospodarka, lecz mozolne, stopniowe docieranie do istotnego brzmienia słowa sienkiewiczowskiego.

Pomijam dalsze uwagi recenzenta, z wyjątkiem chyba jego tajemniczych aluzji do „cudzej ręki“, której jakoby nie dostrzegam w utworach Sienkiewicza. Jeśli się nie mylę Dionizy Henkiel był właścicielem owej ręki. Recenzent ślady jej wietrzy nawet w „Krzyżakach“ i to na zasadzie moich o nich notatek. Nad „Krzyżakami“ spędziłem pół roku przeszło, posługując się materiałami, których oko recenzenta nigdy nie widziało, między innymi rękopisem powieści. Tekst ustaliłem bardzo precyzyjnie, widocznie jednak moje studium ani się umywa do zdolności telewizyjnych dra Dody, pozwalających mu ustalać na niewidziane to, czego dokładna analiza naukowa odkryć nie umie.

Pozbawiony tak cennej własności i zakładający osiągnięcie całkiem zwyczajnych wyników pracy, śmiem przecież sądzić, że wydanie „Dzieli“, dobiegające w chwili obecnej 40 tomów, dzięki planowemu, systematycznemu wysiłkowi pracowników PIW, będzie gotowe przed końcem r. 1951 i stanie się solidną podstawą nie tylko dla wiedzy ale więcej, dla nauki o Sienkiewiczu. Ukaże ono jego dorobek pisarski w postaci nie tylko daleko pełniejszej, niż wszystkie wydania dotychczasowe razem wzięte, ale również daleko poprawniejszej, choć rzecz prosta jeszcze nie wzorowej.

Z prawdziwym poważaniem

Julian Krzyżanowski

### UWAGI O KOLLATAJU.

Na marginesie artykułów w „Dziś i Jutro“.

W nrze 13 (227) „Dziś i Jutro“ ukazały się dwa okolicznościowe artykuły, poświęcone pamięci ks. Kollataja.

W artykule p. Juliusza Nowaka-Dłużewskiego pt.: „Postać reformatora“ uderzyło mnie sformułowanie: „...Kollataj nie mógł już wytrzymać konkurencji z Kościuszką“.

Dr Adam Próchnik w książce pt.: „Demokracja Kościuszkowska“ powiada wyraźnie: żadnej konkurencji między Kollatajem, który dzięki naczelnikowi wrócił z Drezna do Warszawy (1794), a Naczelnikiem, który znów m. in. Kollatajowi zawdzięczał swe stanowisko, nie było. Odwrotnie, ks. Kollataj — Naczelnik to była główna oś, wokół której obracały się dzieje insurekcji. Kollataj decydował o sprawach polityki przy biurku — Naczelnik tę teoretyczną politykę, najczęściej bez większych modyfikacji, na polach bitwy przekształcał w praktykę.

Kollatajowi wystarczyło powiedzieć: „Datę położyć, podpisać na marginesie aktów i pieczęć położyć“, a Naczelnik nie tylko to wykonywał, lecz dawał nieraz podpisy in blanco. Rzecz znamienna. Między ks. Kollatajem a Kościuszką zadzierzgnęły się tak silnie więzy przyjaźni, wzajemnego zaufania, sympatii, że Kościuszko ledwo stawiał nogę w Warszawie, a już biegł odwiedzić swoich najserdeczniejszych przyjaciół: ks. Kollataja i Zajączka. Jego harmonijna współpraca, zwłaszcza z

H. Kollatajem, wykluczała, przynajmniej za życia obu mężów stanu jakkolwiek między nimi konkurencję.

P. Artur Hutnikiewicz w sążnistym artykule „Hugo Kollataj“ powiada na wstępie, że urodził się Kollataj we wsi Dederkały na Wołyniu, a jego rodzice przybyli tu spod Smoleńska. Jest to o tyle nieścisłe, że pro primo urodził się Kollataj w wiosce Niecisławice pod Stobnicą, dzierżawionej na ten czas przez jego rodziców, gdzie też stale oni przebywali (S. Orgelbrand „Encyklopedia Powszechna“ r. 1900); pro secundo zaś przybyli jego rodzice na Wołyn bezpośrednio nie ze Smoleńszczyzny, lecz z Nowogródzkiego, gdzie również trzymali przez pewien okres czasu grunta w dzierżawie.

Dalej: p. Artur Hutnikiewicz za start publiczny Kollataja uważa reformę Akademii Krakowskiej. W istocie start ten na skalę ogólnokrajową nastąpił już w czasie poprzedniej jego pracy w Komisji Edukacyjnej.

Pięknie p. Hutnikiewicz pisze o zreformowaniu Akademii przez Kollataja, szkoda tylko, że nie wspomina ani półsłówkiem o Kollataju jako tej Akademii rektorze (1782 — 1785).

Za jego rektoratu ukończono prace budowe gmachów, założono ogród botaniczny, sprowadzono z zagranicy większą ilość książek i wszelkich pomocy naukowych, obsadzono wakujące katedry co zdolniejszymi uczonymi.

J. Semeńko

Czytajcie „Słowo Powszechnie“

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński,

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-102152

